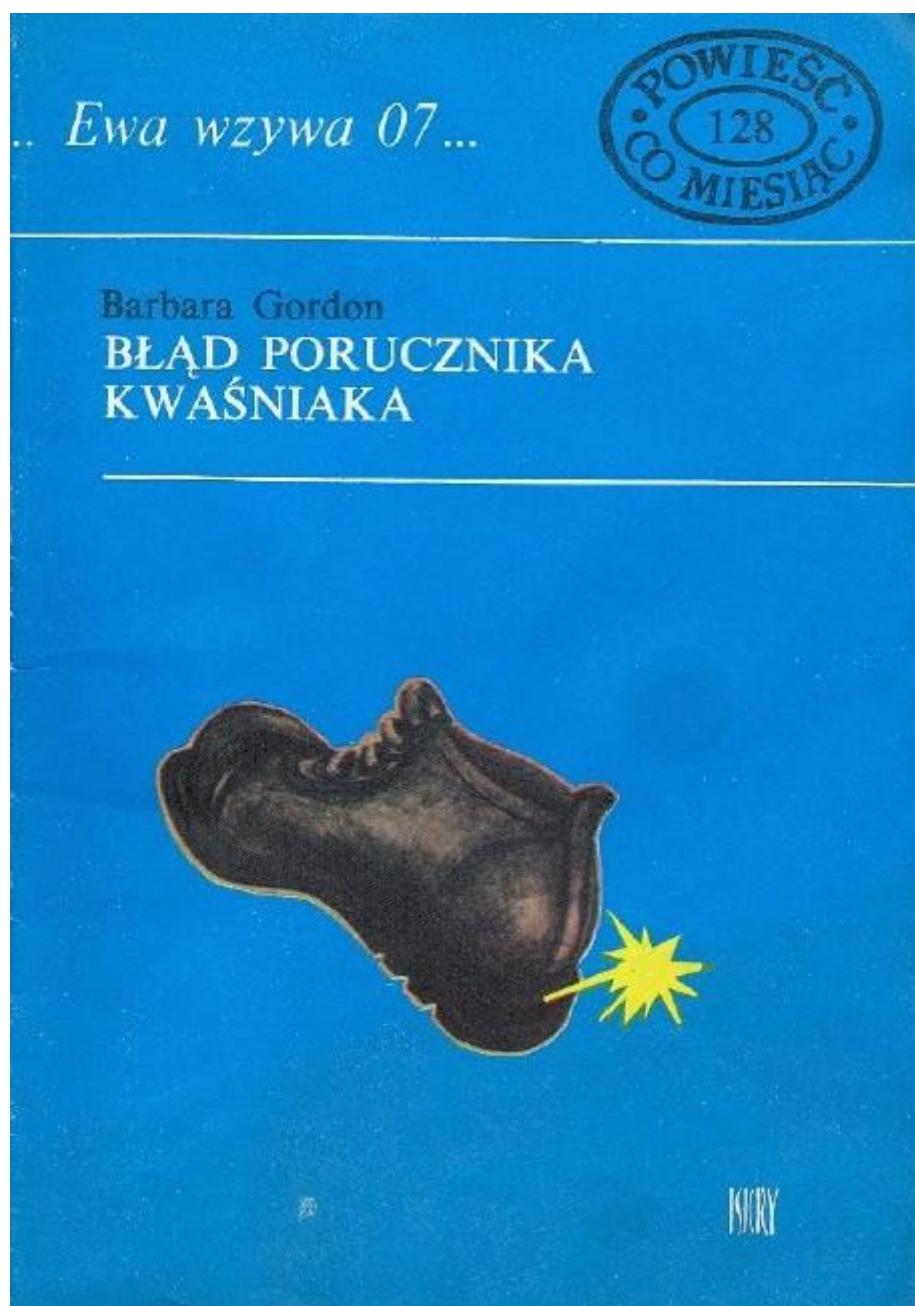


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Barbara Gordon

Błąd porucznika Kwaśniaka



Być może niektórym Czytelnikom historia ta wyda się nieprawdopodobna, ale zapewniam, że zdarzyła się ona w rzeczywistości. Opowiedział mi ją pewien ekspert medycyny sądowej, gdy zapytałam go o najbardziej niezwykły wypadek w jego praktyce.

Rozdział 1

Dochodziła północ. Nad rozległym terenem ogródków działkowych zapadła cisza. Tylko od czasu do czasu miauknął polujący kot, w gniazdach na wysokich topolach rosnących wzdłuż alei poruszyły się gawrony. Aleja przylegała do ogródków i odgraniczała je od miejskiej zabudowy. Działkowicze, którzy krzatali się tu od rana do wieczora wśród grządek, rabatek, krzaczków i drzewek, spali już teraz słodko i spokojnie w swoich miejskich kwaterach po całodziennym ruchu na świeżym powietrzu.

Znajdzie się jednak zawsze ktoś kto nie ma ochoty wracać letnią porą na noc do miasta i spędza także noce w drewnianym domku — altance na swojej działce. Wszelkie wyjazdy na wczasy wraz z nieodłącznymi kłopotami ma się w ten sposób z głowy. Taki właśnie zwyczaj praktykował od kilku lat Mateusz Łukasik, emerytowany kolejarz. Na całe lato przenosił się wraz z żoną" Apolonią do domku na działce. Sąsiedzi to aprobowali: zawsze można było liczyć na interwencję pana Mateusza w razie, gdyby jacyś nieproszeni nocni goście, amatorzy nowalijek lub ładnych kwiatów na imieninowy bukiet, mieli ochotę poplądrować w ich malutkich, lecz zadbanych włościach.

Ale tej nocy pan Mateusz nie czuwał. Obszedł tylko teren koło płotu, sprawdził, czy ktoś siatki nie porzecinał i czy bramka zamknięta, i ułożył się do snu na kozetce. Naciągnął na głowę koc, żeby komary nie kąsały i zapadł w głęboki sen, pochrapując dziarsko.

Za to pani Apolonia nie mogła zasnąć! Po pierwsze przeszkadzało jej chrapanie małżonka. Nie przywykła do tego w żaden sposób przez czterdzieści lat. Po drugie wciąż rozmyślała, czy ukochana wnuczka Lusja dostanie się w tym roku na wymarzone studia medyczne. Jeżeli nie, to chyba zwyczajnie wyjdzie za mąż za Tadzia, urzędnika z Rady Narodowej, co to chodzi za nią już od roku. Druga ewentualność była bardziej po myśli troskliwej babci. Co tam jakieś studia... A te studenty!

Potem zmaćił ten spokój hałas, który dobiegał z alei. Ktoś ostro gwizdnął, wyzywająco zabrzmiał kobiecy śmiech, kilka młodych męskich głosów spierało się z pijackim natręctwem, wreszcie rozbrzmiała chóralnie „Kukułeczka”. Echo niosło się szeroko i donośnie, aż po jakimś czasie śpiew zaczął przycichać. Rozbawione towarzystwo oddaliło się. I dobrze, bo jeszcze przyszłoby im do głowy przeleźć przez płot i kończyć libację w którymś z ogródków. Zdarzało się już i tak.

— A ten śpi jak suseł — mruknęła z pretensją, a miała na myśli męża, który właśnie obracał się na drugi bok.

Przynajmniej przestał chrapać. Pani Apolonia już prawie się zdrzemnęła, gdy znów ją coś wyrwało % uśpienia. Kobieta, która, jak ona, wychowała czworo dzieci, sen miewa lekki, czujny. 7. nawyku. Ile to razy trzeba było wstawać po nocy, gdy któreś zapłakało albo się odkryło... Matka zbudzi się nieraz wcześniej, zanim jeszcze dziecko się odezwie mawia wtedy, że „miała przecucie”. Teraz pani Apolonia też będzie mówić o „przecuciu”. Już poderwała się, już usiadła wyprostowana na swojej połowce (na inne legowisko w domku miejsca nie starczyło), gdy dotarło do jej świadomości, że ktoś krzyknął).

Ten krzyk był przerażający, choć jak gdyby przygłuszony. Pani Apolonia określiła go później w swoich zeznaniach: „Jakby człowieka mordowano”. I urwał się nagle, wchłonięty przez nocną ciszę. Ale pani Łukasików a już stała w swojej długiej flanelowej koszuli i lejbiku i szarpała męża z całej siły za ramię. —? Ojciec, zbudź się! Mateusz! No, zbudź się!

— Czego? Co ci to? Zwariowałaś, matka?! — wysadził głowę spod koca i patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem.

— Cosik tam się dzieje na polu. Ktoś krzyczał.

— A gdzie ja tam będę łaził po ciemku... — marudził niezadowolony, ale wygramolił się spod koca, narzucił na piżamę kurtkę, wsunął nogi w trepy, wziął latarkę i wyrzwał za próg.

Wątlą promień latarki rozświetlił zwykły, znajomy widok: rząd malin u sąsiada z lewej strony, koronkę wisienek u sąsiadów z prawej, bujnie kwitnące peonie od tyłu działki Łukasików i półko sałaty na działce przylegającej od frontu. Nigdzie żadnego ruchu, nawet żadnych szmerów. A co dopiero krzyku. Idealna cisza.

— Przywidziało ci się, matka. Pewnie coś ci się śniło. Za dużo kapusty się na noc najadłaś.

— Kiedy powiadam, ktoś krzyczał. Nie spałam jeszcze.

— A z której strony było słyhać? — spytał podejrzliwie. Nie wierzył babskim przywidzeniom. Ile razy wyruszał w dalszą trasę, żona na mszę dawała, jakby jej pieniędzy nie było szkoda.

Wskazała ruchem głowy kierunek na wprost, za poletkiem sałaty, którą uprawiał Piotrek Kwiatkowski głównie dla swoich żółwi.

— Niby stamtąd. Jakby w domku Nowaków. Zrobił parę kroków, przysłuchując się uważnie.

— Eee tam. Już co jak co. ale u Nowaka cóż by się mogło dziać? Taki spokojny, poważny człowiek.

Pani Apolonia wzruszyła ramionami.

— Może i tak. Ale głupi, że się z taką smarkulą, lafiryndą ożenił.

— Co nam do tego... — ziewnął szeroko, objął ramieniem wątlą posiać swojej połowiey i popchnął ją w stronę domku. — Chodź, matka, spać. Widzisz sama, że nic się nic dzieje.

Zgasił latarkę i skwapliwie schronił się ? powrotem przed natręctwem żony pod ukochanym zbawczym kocem, który wiernie służył mu już tyle lat w wędrownym kolejarskim życiu. Pani Apolonia posłuchała go niechętnie. Wciąż jeszcze miała w uszach ten głuchy krzyk. Ale wiedziała, że na upór męża nic ma rady. Zawsze postawi na swoim. Mimo wszystko usnęła szybko. Nie zbudził jej nawet warkot motocykla w alei. Śnił jej się ślub. Panna młoda nie była jednak podobna do Lusi. Do jakiejś znajomej, ale do kogo? Sen rozwiął się, zanim pani Apolonia zdołała rozwiązać zagadkę. Dopiero po jakimś czasie przypomniał się jej ten sen i wówczas dopiero uświadomił sobie, że jak się śni ślub, to na pewno będzie pogrzeb.

Ranek pojawił się pogodny i słoneczny. Ani śladu po nocnych strachach i niepokojach. Na działkach znów się zaroilo od ogrodników amatorów. Była niedziela, wiadomo, każdy ma czas.

— Mateusz, przeszedłbyś się po sąsiadach... — napomknęła niby niewinnie pani Apolonia. Nalała do męzowskiego kubka parującej mlecznej kawy i przysunęła mu jajecznicę na boczku.

— A ta swoje... No. dobrze, dobrze — zgodził się Łukasik dla świętego spokoju. Nie popuści baba. chyba by się pochorowała, gdyby nie zaspokoila ciekawości — pomyślał.

U najbliższych sąsiadów żadnych rewelacji. Wiśnie z prawej strony dojrzewały pięknie, tylko na malinach u tych od lewa pojawiła się rdza na liściach i potrzebna im była dobrosąsiedzka porada. Piotruś rwał kolejną porcję sałaty dla żółwi, wbrew tradycyjnej opinii o żółwym tempie dość szparko biegających po

ogrodzonym deskami trawniczku. Działka Nowaków była trzecia w linii prostej od ogródka Mateusza Łukasika.

— Dzięć dobry sąsiadce.

— Dobry... — mruknęła w odpowiedzi niedbale młoda kobieta siedząca na ławeczce pod czereśnią. Prezentowała strój ogrodniczki uszyty z teksasu. według najnowszego modelu z „Przekroju”. Kapelusz z rafii z niebywale szerokim rondem ocieniał pucołowatą buzię, ozdobioną makijażem w tonacjach zielono— błękitnych. Założywszy nonszalancko nogę na nogę. raz po raz sięgała do wiklinowego koszyka pełnego rubinowych czereśni. W ogóle wszystko było na niej „za”: za ostry makijaż, za duży kapelusz, za wysokie obcasy, za długie paznokcie, pokryte za jaskrawym takierem. Pestki wypluwała przed siebie na ścieżkę z fasonem godnym klasycznego ulicznika. Pan Mateusz pomyślał, ile to dziczek czereśni porośnie z tego niechlujstwa, przysparzając roboty właścicielowi działki. Golów był w tej chwili zgodzić się ze zdaniem żony, że Jolka Nowakowa naprawdę jest lafiryndą.

Parę kroków dalej młody człowiek, wysoki i szczupły, o bujnej blond czuprynie, wrywał chwasty spod szpaleru obficie owocujących czarnych porzeczek. Te porzeczeki Kazimierza Nowaka były słynne. Największe i najśłodsze ze wszystkich hodowanych na działkach. Robił z nich wspaniałą nalewkę według jemu tylko znanej receptury.

Młody człowiek w ogóle nie odpowiedział na powitanie Łukasika i zignorował jego przybycie.

— Pana Kazimierza nie ma? — zagadnął Łukasik.

— Jak pan widzi — odpowiedziała Jolanta, wypluwając ostentacyjnie kolejną pestkę.

— Panie Zenku, za głęboko pan rwie to zielsko — nie zrażony impertynencją młodej pary, pan Mateusz pochylił się nad porzeczkami, przyglądając się z zazdrością ich soczystym ciemnym kulkom. Właściwie można by już je zbierać...

Młody człowiek wyprostował się, odgarnął długie blond kosmyki opadające mu na czoło i zerknął niechętnie na intruza. Ten stary to się musi do wszystkiego wtrącać — pomyślał.

— Korzenie krzaczkom pan pouszkadza — wyjaśnił cierpliwie Łukasik.

— Nie szkodzi — burknął pan Zenek. — I tak to już ich ostatni rok. Nowak je likwiduje. Chce tu jakąś wysokopienną borówkę sadzić.

— To ja bym na jesieni odkupił te krzaki — ożywił się pan Mateusz. Ależ okazja się trafiła!

— Ja to panu załatwię — ucięła lakonicznie Jolanta, zwana na ogół poufale Jolką. Najwidoczniej zależało jej na jak najszybszym pozbyciu się nieproszonego gościa.

Ale pan Mateusz jakoś nie miał ochoty na opuszczenie działki państwa Nowaków. Z zaciekawieniem przyglądał się Nowakowej, którą rzadko tu widywano. Woląta inne rozrywki aniżeli strzyżenie trawniczka i pielęgnację porzeczek, jakiegokolwiek by były urodziwe. Pan Kazimierz Nowak uważał zresztą działkę za swoją wyłączną domenę i spędzał tu zawsze długie godziny popołudniowe, gdy tylko kończył pracę w muzeum. Tu również odwiedzało go stale kilku przyjaciół, z którymi grywa! w szachy w cieniu rozrośniętej czereśni. Tak, to byty chyba trzy zasadnicze pasje jego życia, spokojnej i nie naruszającego ogólnie przyjętych obyczajów: praca w muzeum, uprawa ogródka i szachy. Dopiero małżeństwo z Jolką, młodszą od niego chyba—o przeszło trzydzieści lat, filutką z pocztowego okienka, stało się wyskokiem, wyłomem w tym czcigodnym bytowaniu. I co on takiego w niej zobaczył? Jak wiele innych osób, zastanawiał się w tej chwili także pan Mateusz, bynajmniej nie wścibski jak jego żona, która wiedziała wszystko o wszystkich, jeśli nie

w całym mieście, to w każdym razie w dzielnicy. Zaciekawiał się zwyczajnie, jak mężczyzna, zerkając na Jolkę z ukradka. Dla niepoznaki kontynuował pogwarękę z Zenkiem.

— Coś mi się widzi, że pan Zenek lubi pracę w ogrodzie. Znam tu parę osób, co by chętnie skorzystały z pomocy takiego silnego młodego człowieka. Starsi ludzie nie mają za wiele siły, żeby skopać grządki na jesieni albo wywieźć śmieci.

— I na co mi to? — mruknął drwiąco Zenek. — Mało się cały dzień nalatam, aż mi nogi w pachy wra-
stają!

Była to aluzja do obowiązków doręczyciela, czyli jak się dawniej mawiało listonosza, które od kilku lat spełniał Zenek w dzielnicowym urzędzie pocztowym.

— No, ale Nowakowi pan pomaga... — uwaga pana Mateusza nie była pozbawiona pewnej ironii, lecz Zenek udał, że tego nie dostrzegł i odpowiedział, tym razem spokojniej:

— Nowak, to co innego. Prawie jakby rodzina. A zresztą, może wyjadę tego lata... Wuj, matki brat, zaprasza mnie do Niemiec. Zachodnich, ma się rozumieć. Tam to przynajmniej zarobię. Może wóz sobie kupię. Nie żeby czekać, czy jaki rencista da piątaka za przyniesienie mu renty...

Nieco uszczypliwa uwaga o piątaku dotyczyła Łukasików. Pani Apolonia zbyt chojna nie była i więcej niż pięć złotych za doręczenie emerytury nie dawała. Mawiała, że to Zenka obowiązek i tyle.

— No i widzisz, matka, wszędzie po sąsiadach spokój. Nic się nie dzieje — raportował pan Mateusz wróciwszy do siebie. — Musiałaś się przesłyszeć w nocy. Może koty się darty albo pijak jaki na ulicy. Nowak wyjechał. Tam tylko pareczka sobie grucha. Jolka z Zenkiem.

— Co ty powiesz? — zainteresowała się — Łukasikowa. — Gruchają, mówisz. Nie wiem, ten Nowak głupi, czy głupiego udaje. Pod samym nosem żona mu się puszcza, a on nic, choć wszyscy o tym naokoło trąbią. Tylko: „Zenuś” i „Zenuś”, zamiast łobuza tęgą miotłą popędzić.

— Może mu z tym wygodnie — skwitował obojętnie pan Mateusz i poszedł okopywać swoja grządki.

Pani Apolonia zabrała się do gotowania zupy na elektrycznej maszynie i wkrótce cała sprawa zatarła się w jej pamięci, aż do czasu, kiedy okazało się, że jej mała nocna przygoda miała wielkie znaczenie. Ale już wtedy, jak to bywa często z zeznaniami świadków, ważniejsze ulatuje z pamięci, co innego za to nabiera większych rozmiarów niż miało w rzeczywistości. Fantazja zaś i chęć odegrania istotnej roli w sprawie ubarwiają zdarzenia lub stwarzają je zgoła z niczego.

Rozdział 2

— Słuchaj, Zenek — odezwała się któregoś rana Jolka, przeciągając się leniwie w łóżku. — Muszę z tym coś zrobić, bo mi życie nie dają. Ten handlarz z Opoła, co mu starocie zwoził, był już ze trzy razy i wypytawał o starego. Sąsiedzi też się dopytują, a najgorzej ten Kwiatkowski, co z nim w szachy gra. Nudziarz.

— Bo ja wiem — mruknął czesząc się przed lustrem. — A co chcesz zrobić?

— No właśnie, nie wiem. Chyba na milicję trzeba dać znać. Że wyjechał i wiadomości nie mam żadnych. Że ja się niepokoję, rozumiesz? Niech go szukają. Ich obowiązek, no nie?

— Czekaj, siostró. Ile to już czasu minęło?

— Będzie ze trzy tygodnie.

— No tak, już za długo. To idź.

— Na dzielnicę, czy do komendy miejskiej?

— Zaczynj od dzielnicy. Tam urzęduje Wacek, mój kumpel, z którym chodziliśmy razem do szkoły. Pamiętasz go? Przyłąził do nas do urzędu, bo komuś tam paczki z zagranicy ginęły. Z nim załatwiaj. Tylko pamiętaj, za dużo nie gadaj. I ubierz się po ludzku, bez fasonów. Żebyś się nie wypindrzyła. Jak ty to potrafisz.

— Zenuś, poszedłbyś ze mną.

— Jeszcze czego. Widzieliście ją, cielátko. Myślałby kto... Mowy nie ma. Od razu by zaczęli pytać, co mnie do tego. Potrzebne to nam? Głupia.

— No już dobrze, dobrze, nie pyskuj — westchnęła z rezygnacją i poszła do łazienki.

Łazienka urządzona była wygodnie, choć nie luksusowo. Jak wszystko w mieszkaniu Nowaków. Jolka wolałaby wannę marmurową i kafelki włoskie, zamiast zwykłych krajowych, ale Nowak słyszeć nawet nie chciał o takich fanaberiach. Mówił, że na co to komu i że ich nie stać na wyrzucanie pieniędzy. Meble były zwyczajne, nie. jakieś zagraniczne komplety, telewizor czarno—biały. Odstępstwo od tych zasad stanowiły obrazy na ścianach i chociaż Jolce nie bardzo się podobały, stary twierdził, że są bardzo cenne i sam je zawsze odkurzał. Stały też drewniane rzeźby, których dotykać jej nic pozwalał i których Jolka nic cierpiała. Mówiła, że czuje się wśród nich jak w kościele. Sami święci i Matki Boskie. Ach, i jeszcze książki. Cóż z tego, że pełne ich były biblioteczne szafy i regał—, kiedy wśród nich nic do czytania. Same uczone dzieła o sztuce i albumy z kolorowymi reprodukcjami. Nudziarstwo.

Kiedy wyszła z łazienki, Zenka już nie było. Wyparował. Widocznie szum wody lejącej się z kranu zagłuszył odgłos zatraskiwanych drzwi. Westchnęła z goryczą. Gdyby ktoś inny tak z nią postąpił, rzuciłby ją samotną i bezbronną na pastwę „gliniarzom”, miałby się z pyszna. No, ale to Zenek!

Siąknęła nosem z rozczulenia nad swym nieszczęsnym losem i nastawiła wodę na herbatę. Stwierdziła przy okazji, że Zenek, kiedy ona tkwiła w łazience, zdążył jednak zaparzyć sobie kawę i spałaszować prawie całą szynkę z lodówki. Wczorajszą bułkę odgrzał na toasterze, zapomniał nawet wyciągnąć sznur z kontaktu.

Otworzyła na roścież szafę i popadła w głębokie zamyślenie. Ciuchy! To było to, co kochała najbardziej. Żeby każdy na ulicy oglądał się za nią, nie dostrzegając ani zbyt krótkich i grubawych nóg, ani pospolitej buzi, chociaż jej właścicielka uważała się za piękność. Co więc włożyć, żeby ten durny Zenek nie czeptał się? Jest w czym wybierać. Tego jej Nowak nie żałował, choć w zasadzie był skąpy. Wyczuł jej słabość i pod tym względem dogadzał. Podniecał nawet jej próżność. Mówił, że lubi, kiedy ludzie podziwiają jej wygląd. Podnosi to jego znaczenie jako męża. Ale w domu nosiła się skromnie. Żal jej było ładnego stroju przy zajęciach gospodarskich. A tego jednego Nowak od niej wymagał: żeby prowadziła dom. Słyszeć nie chciał o żadnej gosposi, nawet woźną z muzeum, która kiedyś sprzątała mieszkanie, przepędził. Kupił Jolce kilka książek kucharskich i kazał się jej nauczyć gotować. Cierpiał na katar żołądka i stosował dietę, w kuchni więc się nie narobiła. Poza tym pozostawiał jej pewną swobodę. Miała mnóstwo wolnego czasu i

mogła rozporządzać nim dowolnie. Nie wtrącał się, nie pytał, co robi i gdzie bywa. Tylko do domu nie pozwalał jej nikogo zapraszać. Prócz Zenka.

Zdecydowała się wreszcie na skromną sportową sukienkę z niebieskiego lnu i granatowe sandaalki, z biżuterii zostawiła tylko obrączkę. Sukienka miała spory dekolt. Przydałby się szalik. Najlepiej ten japoński, z błękitnego cieniutkiego jedwabiu w białoróżowe kwiaty wiśni, który dostała od Nowaka na Wielkanoc. Nie mogła go jednak znaleźć. Diabli wiedzą, gdzie się podział. Szukała go już od dłuższego czasu. Musiała zgubić albo gdzieś zostawić. Trudno. Dała spokój szalikowi, założyła korale i wyszła zamykając drzwi wejściowe na pięć zamków, jak przykazywał zawsze surowo pan domu.

Był upał. Szła wolno ociągając się i złorzecząc w duchu. Postąpiła przy jednej wystawie sklepowej, przy drugiej, wstąpiła na lody do małej cukierenki i poplotkowała chwilę z napotkaną przyjaciółką, która nadziei się nie mogła, że w taką duchotę Jolka siedzi w mieście, zamiast zadawać szyku w Sopocie czy jakimś innym uzdrowisku.

— Stary jeszcze nie wrócił, więc jak ja mogę się gdzieś ruszyć — odparła kwaśno Jolka.

— Co mówisz? — zdziwiła się Danka. — Ale jakoś nie rozpaczasz... Ty, a może on ci nawiał? Może jakaś cizia go poderwała? Ciepły staruszek.

— Idźże, idź — Jolka pogardliwie wydeła wargi, ale naraz coś sobie przypomniała. — Słuchaj no, Danka, jak były twoje imieniny, nie zostawiłam czasem u ciebie mojego niebieskiego szalika? Wiesz, ten japoński, w kwiatki. Gdzieś go posiałam.

Danka zachichotała frywolnie.

— Mogłaś wtedy Bóg wie co zgubić, kochana. Nie wyłączając majątek i biustonosza. Jesteś mi jeszcze winna za taksówkę, co nią ciebie rano do domu odwoziłam. Ale szalika twojego u mnie nie ma. Słowo daję. Sprzątańcia miałam wtedy od groma, gdyby gdzieś był, toby się znalazł. Może po drodze posiałas, kiedy przyjeździecie zawiani całą bandą?

Jolka machnęła lekceważąco ręką i zerknęła na zegarek.

— Wybacz, aniele, spieszę się, nie mam czasu... Zdzwonimy się wieczorem albo jutro. Pa!

— Pa! — odpowiedziała Danka i popatrzyła w ślad za oddalającą się koleżanką. Mieszkały kiedyś w jednym domu i przyjaźniły się od dziecka. Nic miały przed sobą prawie żadnych tajemnic, ale Danka nie dowierzała zapewnieniom Jolki, że czuje się zupełnie szczęśliwa. Gdyby tak wyszła swego czasu za Zenka, miała z nim ze dwoje dzieci, rodzinę jak się patrzy, to co innego. Prawidłowo. A tak, to co? Jest właściwie za kuchnię u tego starego! Tyle że łańców i błyskotek ma, ile chce. Z Zenkiem na boku kombinuje. Ale jak długo tak można?

* * *

Sierżant Waclaw Malina nudził się od samego rana. Spraw bieżących mało, miasto opustoszałe, połowa lipca, mieszkańcy porozjeżdżali się. W taki upał to nawet chuliganom nie chce się rozrabiać. Tu i tam jakieś małe włamanie do pustych mieszkań. Ucieszył się, gdy w drzwiach dyżurki stanęła Jolka. Kiedyś nawet podobała mu się, gdy jeszcze urzędowała na poczcie w okienku pod szyldzikiem: „i—isty polecione, sprzedaż znaczków, wpłaty i wypłaty”, Ale to była dziewczyna kolegi, nie wypadało mu więc jej podrywać. Z zalem zrezygnował.

Zerwał się z miejsca, przysunął krzeselko, zaproponował wodę mineralną. Jolka łapczywie opróżniła szklankę i miętosząc płócienną konduktorkę rzuciła mu spod ciemnej grzywki spłoszone spojrzenie brązo-

wych ocząt. Tym razem niebieskozielone powieki nie miały doklejonych długich rzęs. które czyniły to spojrzenie tajemniczym i urokliwym. Ot, zwykła sobie dziewczyna, trochę zmieszana i czymś zmartwiona. Lecz czym?

— No, co ci jest? — ponaglił łagodnie, gdy milczenie niespodziewanej petentki przedłużało się.

— Nie wiem, jak to powiedzieć... I nie wiem, co mam robić — wymamrotała, zacinając się nieco. Na pewno zasłużyłaby w tej chwili na pochwałę Zenka. Nie darmo chciała kiedyś zostać aktorką. Oto rola zbłąkanej sierotki w gęstym lesie.

— Wał prosto z mostu — zachęcał. — Wiesz przecież. Zenek mój kumpel... Chodzisz z nim jeszcze?

Skinęła głową, ale jednocześnie wyciągnęła z torby chusteczkę i udawała, że ociera napływające do oczu Izy.

— Zenek... Z Zenkiem to my teraz tak tylko po koleżeńsku... Przyjaźnimy się. I tyle, Wiesz przecież, że wyszłam za męża. Półtora roku temu.

Spochmurniał. Podobnie jak Danka nie był zachwycony tą dwuznaczną sytuacją. No, ale nie był księdzem, tylko milicjantem. Chyba spowiadać się tu nie przyszła. Więc w czym rzecz?

Zaczęła teraz mówić szybko, jak gdyby chciała jak najszybciej zrzucić z siebie ciężar.

— Mój stary... — poprawiła się prędko — mój mąż często wyjeżdża służbowo. W sprawach tego swojego muzeum. Wyjechał trzy tygodnie temu i powiedział, że nie będzie go kilka dni. No i do tej pory nie wrócił. Nie wiem, gdzie się podział.

Wprawdzie miał jeszcze zaległy urlop, zc dwa tygodnie, ale chyba dałby znać, że jedzie gdzieś na — dłużej. Ani nie napisał, ani nie dzwonił. Czasem telefonuje, jeżeli go coś zatrzyma w terenie. A tu nic,

— Czy już zdarzało mu się tak wyjechać na kilka dni i nie wracać, dłuższy czas nie dając znaku życia?

— Ach, nie! — zaprzeczyła zasmucona i zatroskana, — W ogóle na tak długo nigdy nie wyjeżdżał.

— Orientujesz się przynajmniej, dokąd jeździł? Nie domyślasz się, dokąd mógł teraz pojechać?

— Jeździł przeważnie po naszym województwie, po różnych dziurach. Wyszukiwał i skupował od ludzi rozmaite starocie. Ja to bym pięciu groszy za to nie dała i nóg nie zdzierała. Ale on je zbierał dla muzeum i mówił zawsze, że jestem głupia, bo się na tym nie znam, a to jest warte krocie. W Opolu miał takiego, co dla niego pracował, znaczy się skupował te rzeczy. Ale do Opolu chyba nie pojechał, ten facet już kilka razy tu był, dowiadywał się, co zc starym, bo mają jakieś rachunki da wyrównania.

Wacek pomyślał: No tak. Różne rzeczy mogą się człowiekowi w drodze przydarzyć. Zwłaszcza starszemu. Mógł zachorować, mógł go kto napaść i ograbić, jeżeli zorientował się, że gość ma przy sobie pieniądze... Jolce tego nie powiedział. Po co dziewczynę denerwować. Zresztą, kto tam wie, jakie naprawdę panują między nimi stosunki

— Wiesz, co ci powiem. Jolka, dotychczas rozmawialiśmy prywatnie, ale trzeba sprawę załatwić służbowo. Przecież ja nie będę szukać twojej zguby. Jeżeli rzeczywiście masz powody, musisz złożyć meldunek o zaginięciu. Ale nie u mnie.

— A gdzie? Jak się to robi?

— Masz może przy sobie jego zdjęcie? Nie? To idź do domu, przynieś jakieś wyraźne, może być takie jak do dowodu osobistego albo legitymacji służbowej i idź piętro wyżej, do pokoju numer dwadzieścia jeden. Na tabliczce napisane jest: „Wydział Służby Kryminalnej”. Tam siedzi taki kapitan, niski, łysawy. On wszystko spisze na druczku, oddasz mu zdjęcie i zaczną szukać twojego męża. Zrozumiałaś? Oni już będą wiedzieli, że przyjdiesz, bo i tak muszę im zameldować, że się do mnie w tej sprawie zgłosiłaś.

Gdy wyszła, rzucając mu na pożegnanie powłóczyście spojrzenie, którym zamierzała dać do zrozumienia, że gdzie indziej i kiedy indziej, w bardziej sprzyjających okolicznościach gotowa jest wyrazić wdzięczność za dobrą radę w konkretniejszy sposób, Malina podniósł słuchawkę i wykręcił numer wewnętrzny.

Rozdział 3

Kapitan Roman Pietras obrzucił badawczym spojrzeniem grupkę swoich podwładnych zgromadzonych w gabinecie na odprawie. Komu by tu zlecić sprawę zaginięcia obywatela Kazimierza Nowaka? Zych ma na głowie morderstwo w gospodzie, stu pięćdziesięciu świadków, stu pięćdziesięciu uczestników sławetnego wesela. Gniazdo os. Ubyło mu już chyba ze dwa kilo na wadze. Rokitnicki? Za mało ruchliwy, mało inicjatywy. Radkowski byłby dobry, ale trochę za twardy. Ta Nowakowa ma cały czas minę, jak gdyby miała zamiar zaraz wybuchnąć płaczem. Huknie na babkę, ona mu się rozklei i już w ogóle niczego się od niej nie dowie, No i w muzeum też trzeba mieć taktowne podejście". A tu przecież chodzi nie o byle kogo. Dyrektor muzeum! Nowak był osobą dość znaną w mieście.

No cóż, pozostał jeszcze Kwaśniak, Wzrok kierownika wydziału służby kryminalnej padł na niepozorną postać, skuloną na krzeselku w kącie koło okna. Mister przeciętności — można by go tak określić. Ani niski, ani wysoki, ani gruby, ani chudy, twarz w tłumie nie do odróżnienia i nie do rozpoznania. Wypełniał swoje zadania starannie, ale niespiesznie i nie mógł się poszczycić dotychczas żadnym wybitnym sukcesem. Ale też i nikomu nie przychodziło do głowy, ażeby mu powierzyć jakąś ekstra sprawę. Właściwie więc nic miał szans na zabłyśnięcie. Stąd pewnie zrodziło się w nim przekonanie, że ma nieodwołalnego pecha. A może po prostu rozminął się z powołaniem? Dziwny facet. Niechętnie stawiał wnioski o aresztowanie kogoś; jak gdyby z trudem przyjmował do wiadomości, że zło jednak istnieje na świecie. A powinien się już był przekonać, że nie same anioły zaludniają ziemię. Żona go porzuciła i chyba tylko dlatego, że mieszkał z matką, miał przyszyte wszystkie guziki, wyprasowane spodnie i wyczyszczone na glans buty. Nie palił, nie pił, nie gustował w wesołym towarzystwie. Kiedy koledzy w wolnych chwilach rozprawiali o szansach „Widzewa”, „Górnika” i „Legii”, on wtykał nos w książkę, przeważnie historyczną. Kilka razy Pietras spotkał go na mieście w osobliwych, miejscach. To wchodzącego do muzeum, to w teatrze w towarzystwie drobnej, szczupłej, siwej pani, chyba matki, to znów opuszczającego wystawę rzeźby nowoczesnej, która, dalibóg, nie cieszyła się zbyt dużą frekwencją. Jasiu — mówili na niego wszyscy w wydziale. Nie dodawali wprawdzie przymiotnika głupi, bo właściwie go lubili, ale zaraz potem następowało nieco lekceważące machnięcie ręką.

A może właśnie „Jasiu”, taki, jaki jest, nada się do tej delikatnej sprawy? Nie powinna być skomplikowana. Najpewniej Nowak utknął w jakiejś dziurze, gdzie odkrył kopalnię staroci dla swego ukochanego muzeum. Albo zabawił się z jakąś babą, chociaż nikt by go o to nic posądzał. Cicha woda brzegi rwie...

— Porucznik Kwaśniak obejmie sprawę zaginięcia dyrektora Kazimierza Nowaka — orzekł szef i wszyscy obecni odetchnęli z ulgą.

— Ty, Jasiu, uważaj — roześmiał się starszy sierżant Rokitnicki, gdy opuścili już gabinet szefa. — Ta Jolka Nowakowa to znana numer antka...

— Co mi tam — mrukną! w odpowiedzi obojętnie Kwaśniak i otworzył chudziutki; teczkę, wręczoną mu przez Pietrasa. Niewiele było w niej na razie dokumentów, ale porucznik z uwagą studiował jej zawartość, składającą się z meldunku o zaginięciu Kazimierza Nowaka, fotografii i rysopisu zaginionego urodzonego w Przemyślu w 1920 roku, zamieszkałego przy ulicy Mickiewicza pod numerem siódmym, wzrostu średniego, oczy piwne, włosy ciemne z łysiną, małe wąsy przystrzyżone, poza tym znaków szczególnych — brak. Dwudziestego trzeciego czerwca wyszedł z domu i nie wrócił. Hm. dziwne. Kwaśniak wynotował sobie osoby, które mogłyby wiedzieć cokolwiek na ten temat i ruszy! na miasto.

* * *

— Pozwoli pani, że przejrzę biurko męża? — spytał jakby zażenowany.

Właściwie nie musiał wcale o to pytać, bo na wszelki jednak wypadek zaopatrzył się w nakaz rewizji. Ale po co miałyby z miejsca postępować tak obcesowo?

Skinęła głową. Zaprowadziła go do pokoju, który Nowak nazywał swoim gabinetem. Przy każdym ruchu jedwabny różowy szlafroczek rozchyłał się i Kwaśniak, niezbyt dotychczas wrażliwy na wdzięki kobiece, miał co podziwiać.

Biurko dyrektora Nowaka obszerne, ciężkie, dębowe nic było zamknięte. W środkowej szufladzie tkwił klucz. Na blacie panował idealny porządek. Mały antyczny zegarek z alabastru sąsiedował ze stojącym terminarzem, kałamarz i świecznik z czarnego marmuru, w wazoniku z brązu długopisy i flamastry w różnych kolorach, blok czystego kancelaryjnego papieru. Boczne przegródki były wypchane prospektami, przewodnikami turystycznymi, katalogami muzeów z różnych miast i krajów. Wyglądało na to, iż dyrektor Nowak dogłębnie studiował dziedzinę, której poświęcił życie. Kiedy Kwaśniak zapytał o korespondencję, Jolanta wyjaśniła, że zawsze niszczył przeczytane listy, pewnie służbowe nie, ale tych pan porucznik powinien szukać w biurze muzeum. W szufladzie spoczywały równiutko obok siebie poukładane: gruby brulion ze skrupulatnie dzień po dniu prowadzonymi rachunkami domowymi, plik kwitów za opłaty różnego rodzaju, płaskie pudełko z bilonem i kilkoma banknotami, legitymacja ubezpieczeniowa i książeczka PKO oraz dość gruba, zalakowana koperta, zaadresowana do mecenasa Henryka Chrzanowskiego. Nie było natomiast nigdzie żadnego podręcznego notatnika, który zawierałby adresy i telefony osób pozostających w jakimkolwiek kontakcie z Kazimierzem Nowakiem. A przecież — pomyślał Kwaśniak — osób takich, z uwagi na stanowisko właściciela biurka, musiało być niemało.

Machinalnie kartkował książeczkę PKO. Jej posiadacz prowadził najwidoczniej ożywioną działalność finansową. Wpłaty i wypłaty były pokaźne, od kilku do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Nagle Kwaśniakowi przyszło coś do głowy i zapytał:

— Czy mąż, wyjeżdżając, zostawił pani jakieś pieniądze?

Jolka lekceważąco wzruszyła ramionami.

— Coś z osiem czy dziewięć tysięcy, nie pamiętam dokładnie. Na bieżące rachunki, na życie.

— To sporo.

— Nie za bardzo. Prawda, kiedy jechał na kilka dni, zostawiał mniej, dwa, trzy tysiące, jak mówił „na wszelki wypadek”. Ale tym razem miałam duży rachunek w elektrowni, krawcową, imieniny koleżanki... No i właśnie kończy mi się forsa. Pan porucznik da mi tę książeczkę, będę musiała z niej podjąć trochę pieniędzy.

— Przecież pani nie ma pełnomocnictwa — Kwaśniak pokazał jej stronicę z nadrukiem: „Stale pełnomocnictwo do rozporządzania wkładem”. — Do rozporządzania wkładem upoważniony jest niejaki Zenon Sikora. Kto to jest?

— Ach tak. oczywiście... Zenek. To mój dawny kolega z poczty i przyjaciel naszej rodziny. Listonosz. Wie pan, kiedyś ja byłam upoważniona, ale zdarzyło mi się raz, że zgubiłam pieniądze, które podjęłam, kiedy męża nie było. Pięć tysięcy. Mąż mnie obrugał i zmienił wpis na Zenka. Bo on go bardzo polubił i ma do niego zaufanie. A samemu nic chce mu się na pocztę chodzić i w ogonku stać. mówi, że nie ma na to czasu. I dlatego Zenek ostatnio pieniądze podejmował. To i teraz mi załatwi...

— Nie wiem — odpowiedział Kwaśniak z pochmurną miną, bo coś mu tu zapachniało kręactwem. — Nie wiem, czy panią to urządzi, jeżeli męża nie będzie jeszcze przez dłuższy okres. Tu jest tylko pięćdziesiąt złotych na książeczkę.

— Jak to?! — wrzasnęła Jolka i twarz jej oblała się ze zdenerwowania rumieńcem. Tam musi być około osiemdziesięciu tysięcy. Dobrze pamiętam. Odkładaliśmy na aulo.

— Przykro mi panią rozczarować — Kwaśniak poczuł się przez chwilę, jak gdyby to on sam był winien zniknięcia tych osiemdziesięciu dwóch tysięcy pięciuset złotych. — Cały wkład, prócz tych pięćdziesięciu złotych, został wycofany w dniu wyjazdu pani męża, dwudziestego trzeciego czerwca bieżącego roku. Oczywiście, w PKO będziemy mogli sprawdzić, czy to pani mąż osobiście podjął tę kwotę, czy pełnomocnik, pan Zenon Sikora.

„Aż mnie skreśliło” — powie później Jolka do swojej przyjaciółki Danki, skarżąc się na okrucieństwo losu. Myśli kotłowały się jej w głowie jak zwariowane i miała wrażenie, że ziemia nagle usuwa się jej spod nóg. Oniemiała, opadła na fotel po drugiej stronie biurka, przeznaczonego dla interesantów i bez słowa przyglądała się, jak porucznik Kwaśniak odkłada na bok różne przedmioty, zapisując na kartce pozycję po pozycji.

A kto to jest Henryk Chrzanowski? spytał waząc w ręku grubawą kopertę.

— Taki adwokat. Załatwiał mężowi różne sprawy. Mało go znam. Był u nas parę razy na kolacji.

— Oddam mu ten list. Może znajdziemy w nim jakąś wskazówkę. Zabieram, proszę pani, tylko to, co może się nam przydać w dochodzeniu. Terminarz, rachunki, książeczkę i ten list. Proszę podpisać, o, tu — podsunął jej arkusz.

Patrzył, jak zabierała się do podpisywania. Robiła to w sposób niewprawny, niemal dziecinny i przestał się dziwić Kazimierzowi Nowakowi, że przeniósł na inną osobę prawo dysponowania swoim kontem.

Przed pożegnaniem się Kwaśniak przystanął w hallu. Jak gdyby na przekór banalnemu urządzeniu pokoi mieszkalnych, hall przypominał raczej sień starego szlacheckiego dworu. Na ścianach trofea myśliwskie, pojedyncze sztuki białej broni, tu hełm, ówdzie fragment pancerza, obraz przedstawiający jakąś bitwę, ciekawy staropolski kilimek.

— Mąż pani zbiera takie rzeczy? zainteresował się. — Bo ja bardzo lubię starocie...

Jolka chciała, żeby jak najszybciej sobie poszedł. Musi zadzwonić do Danki. I do Zenka, jeżeli oczywiście go złapie, bo w tych godzinach on obchodzi rejon. No i musi sobie przemyśleć wszystko. Osiemdziesiąt tysięcy! Nie w kij dmuchał. Odpowiedziała z roztertowaniem:

— E, tam, zbiera, nie zbiera. Jedno kupi, drugie sprzeda. Na strychu sporo ma tych kłopotów. Chce pan popatrzeć, niech pan idzie. O, tędy — wskazała na schodki, wiodące na mansardę. — Ale sam, ja tam nie chodzę, bo pełno myszy. Na co on to tam trzyma, pojęcia nie mam. Stare kanapy, połamane graty.

— Może następnym razem — wykręcił się Kwaśniak obliczając sobie w myśli czas, jaki mu pozostał tego dnia na przewidziane czynności. Stara kanapa nie zajac, nie ucieknie. — A te schody dokąd prowadzą? — wskazał stopnie prowadzące na dół.

Czuł się skrępowany, jakby oszołomiony bliskością młodej, wyzywająco ubranej i umalowanej, kobiety. Nie interesował się babkami, od kiedy rozstał się z żoną. A lu tyle ponętne ciało, odsłaniającego się przy każdym ruchu powiewnego szlafrocza, mocny zapach perfum, raz po raz zalotne spojrzenie spod długich rzęs... Zbyt słabo znał się na arsenale kobiecej kokieterii, żeby zorientować się, że te rzęsy były doklejone. Trzeba stąd uciekać czym prędzej, przerwać to niebezpieczne sam na sam. od którego kręci mu się w głowie.

— Do suteryny — odpowiedziała Jolka. — Mamy tam pralnię i suszarnię. No i piwnicę z centralnym.

Te oględziny także odłożył na kiedy indziej. Zajrzał tylko do garażu, Z braku samochodu Nowak zamienił pomieszczenie na skład narzędzi ogrodniczych. Ale i tu jakiś kulawy fotel pretendował do miana antyku, a piękna lampa naftowa dziwiła się, czemu nie stoi na wystawie desy.

Odchodząc obejrzał się jeszcze raz za siebie. Posesja, obłana lipcowym słońcem, tchnęła ładem i spokojem. Gładko wystrzyżony trawniczek przed domem podobnym do pudełka, kilka ozdobnych krzewów i wzdłuż siatki żywopłot, parę krzaczków róż, zaczynające rozkwitać dalie. Pozazdrościć takiego dachu nad głową. nawet jeżeli to jest tylko połówka bliźniaka. A jednak czegoś tu brakowało. Żeby w oknie siedział kot, żeby zaszczekał czujny pies. żeby po trawniku biegało za piłką dziecko. Żeby było ciepło i swojsko. A nie tak bezosobowo, bezdusznie, drętwo. „Jedno sprzeda, drugie kupi” przypomniał sobie słowa Nowakowej. Kim jest. jaki jest człowiek, którego Kwaśniak ma szukać? Jest ważne, żeby się tego dowiedzieć. Któraś ze ścieżek życia beznamietnego znawcy „rupieci” jest tą. na końcu której Kwaśniak musi odnaleźć człowieka mającego na razie dla porucznika tylko postać chudej teczki w milicyjnych aktach.

Zza sztachet przyległego bliźniaka starszy pan z siwą czupryną i bujnymi, również siwymi, wąsami, bacznie przyglądał się kroczącemu chodnikiem Kwaśniakowi. Miał minę. jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale zadumany porucznik nie zwrócił na niego uwagi. Wciąż jeszcze myślał o brązowych oczach Jolanty Nowakowej, umiejących spoglądać tak rozbrajająco spod długich rzęs.

Rozdział 4

Muzeum stanowiło jedną z atrakcji miasta, chociaż naczelne władze muzealnictwa nie zaliczały tej placówki do przodujących w kraju ani pod względem naukowym, ani z punktu widzenia poprawności ekspozycji. Znajdowały się tu wprawdzie eksponaty rzadkie i interesujące, lecz całość sprawiała wrażenie przysłowiowego grochu z kapustą. Sąsiadowały ze sobą stare sztychy i obrazy, wyroby ze srebra i porcelany, świątki i broń, manuskrypty i kolekcje numizmatyczne. Ale właśnie przez to może mieszkańcy miasta lubili tu zaglądać: każdy mógł znaleźć dla siebie coś ciekawego.

Kilka woźnych, tkwiących nieruchomo na krzeselkach i pilnujących eksponatów, oddawało się z zapałem robieniu na drutach. Żadna z nich nie zwróciła uwagi na Kwaśniaka. Widywały go tu czasami, ale nie sądziły, że zwiedza on muzeum z upodobania. Raczej uważały, że jest służbowo przydzielony do nadzorowania miejskich zbiorów.

Pani Felicja Korolewicz, sekretarka Kazimierza Nowaka, była osobą, której zależało przede wszystkim na dotrwananiu do emerytury w miejscu ciepłym i zacisznym, bez nadmiernych obowiązków. Uważała, że porządnemu człowiekowi, a zwłaszcza przyzwoitej kobiecie, w ogóle nie powinno się zdarzać cokolwiek, co powoduje kontakt z władzami porządku publicznego. Dość, że widuje się milicjanta kierującego mchem na skrzyżowaniu ulic. Bez nadmiernego zapału do wdawania się w obszerniejszą dysputę stwierdziła, że niewiele jej wiadomo o sprawach pana dyrektora Nowaka i pojęcia nic ma, dokąd mógł się udać na tak długi czas, choć nadmieniał przed wyjazdem, że być może wykorzystają przy okazji zaległy urlop. Telefonowała ostatnio do jego domu i rozmawiała z dyrektorką Nowakową. Naczelna dyrekcja dopominała się o tezy referatu, jaki miał pan Nowak wygłosić już kilka dni temu na konferencji muzealników wojewódzkich o rozszerzaniu kontaktów z mieszkańcami regionu. Teraz już sprawa upadła, bo konferencja odbyła się bez niego. W najbliższych dniach ma tu przyjechać ktoś z naczelnej dyrekcji, gdyż przeciągająca się nieobecność kierownika placówki zaniepokoiła władze, powiadomione o tym przez muzeum.

— Czy Kazimierz Nowak często wyjeżdżał?

— Dawniej dość często, ostatnio rzadziej.

— A dokąd i właściwie po co?

— Doprawdy, nie bardzo wiem. Kiedyś to jeździł po różnych małych miasteczkach i wsiach. Zwoził stamtąd eksponaty do naszego muzeum. Ale ostatnio mówił, że taka włóczęga męczy go. Miał znajomego w Opolu, już tylko z nim utrzymywał kontakt. Albo jeździł do niego, albo tamten przyjeżdżał i przywoził rozmaite rzeczy. Ja myślałam, że i teraz dyrektor do niego pojechał, ale okazało się, że nie. Ten znajomy był tu tydzień temu i dopytywał się o pana Nowaka.

— Ma pani jego adres? Jak on się nazywa?

— Anatol Kobza. A jego adres ma pan tutaj. Podała mu notes z adresami i telefonami ale zabrać go nie pozwoliła. Rzecz służbowa, własność państwowa. Jak porucznik chce, może sobie na miejscu przejrzeć.

Kwaśniak zanotował adres tajemniczego Anatóła Kobzy i na wszelki wypadek kilka nazwisk na chybił trafił. Gdyby miał odwiedzić wszystkie osoby, figurujące w notesie Nowaka, musiałby chyba z rok spędzić w podróży. Właśnie — w podróży.

— Jakich środków lokomocji używał pan dyrektor Nowak?

— No, samochodu to nasze muzeum nic posiada — w głosie pani Korolewicz zabrzmiała nagana, bo cóż to za instytucja, która nie dysponuje samochodem. — Koleją jeździł albo autobusem. Można sprawdzić w księgowości, przecież za każdym razem rozliczał się.

— A kto zastępuje dyrektora Nowaka?

— Par. kustosz. Sylwester Aniołkiewicz. Ale on też nic panu nie powie, tyle akurat wie, co ja. Już prędzej Szymczak, nasz główny księgowy.

— Proszę pani... — Kwaśniak przybrał minę i ton, jak gdyby zamierzał zaprosić panią Felicję na lody. — Co odpowiedziała dyrektorowa Nowakowa, kiedy pani telefonowała do niej? Czy robiła wrażenie zmarzwionej, zaniepokojonej, rozgniewanej?

Pani Felicja nadęła się.

— Ależ, proszę pana! — zakrzyknęła ze zgorszeniem. — Ja nigdy nie wdaję się w dłuższe rozmowy z panią Nowakową. Cóż ona może wiedzieć o sprawach muzeum albo o służbowych sprawach męża?! Pan dyrektor to nawet zakazał, i mnie, i innym pracownikom, rozmów z żoną na takie tematy. Zapowiedział, że to nie jej interes. Ona tu nawet nigdy nie przychodziła. Mówił, że nie lubi, kiedy mu się rodzina po miejscu pracy pęta. Przepraszam za ordynarne słowo, ale tak to określa.

Kwaśniak doszedł do wniosku, że najwidoczniej obie panie nie były ze sobą w najlepszej komitywie. W każdym razie już w jednym wypadku pani Felicja miała rację. Kustosz, pełniący obowiązki zastępcy Nowaka, magister Sylwester Aniołkiewicz, wykazywał bezmierne zdumienie, że ktoś chce od niego dowiedzieć się czegokolwiek o panu dyrektorze Nowaku. O rzeźbie szesnastowiecznej, którą właśnie w tej chwili bada, o świętym Piotrze z wielkim połączonym kluczem, to owszem, może powiedzieć wszystko. Na przykład, że jest najprawdopodobniej falsyfikatem z wieku dziewiętnastego. Ale o dyrektorze Nowaku? Cóż on miałby do powiedzenia? Może tyle, że podpisywał różne dokumenty, kiedy Nowak był nieobecny.

Porucznik Kwaśniak doszedł do wniosku, że już tego dnia nie zdąży odbyć podróży do Opolą, postanowił więc złożyć wizytę mecenasowi Chrzanowskiemu.

Pan mecenas akurat przyjmował swoich klientów. Spory tłumek niecierpliwił się w poczekalni, ale mecenas dość obcesowo rozsunał wszystkich na bok i z rewerencją uprowadził do gabinetu porucznika. Władzy należy się pierwszeństwo. To jasne. Władza nie ma czasu wyczekiwać na korytarzu, jak za przeproszeniem jakiś indywidualny rolnik, swarzący się z rodziną o morgi.

Głos pana mecenasa przypominał echo, wydobywające się z głębokiej studni. Dudnił tak, że nie było mowy o zachowaniu należytej adwokatowi dyskrecji wobec osób, siedzących rzędkiem za drzwiami.

— Tak, tak... Zobaczmy. Zaraz zobaczymy... Myślę, że wiem, o co chodzi — mówił mocując się z grubą kopertą, którą Kwaśniak położył mu na biurku.

Pan mecenas był rostry, łęgi, siwiejący już nieco i samym swoim wyglądem, rześkim i optymistycznym, wzbudzał w klientach przekonanie, że ich sprawa znajduje się we właściwych rękach. Że jest słuszna i zostanie wygrana.

— No tak! — trzepnął z rozmachem otwartą dłońią po pliku papierów i podszedł do umieszczonej w rogu pokoju pancernej szafy. Otworzył ją i wydobył z wnętrza teczkę, którą rozłożył przed porucznikiem.

— „Ostatnia wola Kazimierza Nowaka...” — przeczytał Kwaśniak.

— Tak jest. Inaczej mówiąc, testament. Z zasady ujawnia się po zgonie testatora. Ale w tych okolicznościach... Skoro miałyby to pomóc panu porucznikowi w dochodzeniu... Ja zawsze, panie poruczniku, zawsze robię co można, żeby pomóc władzy w pełnieniu jej trudnych obowiązków... Zresztą, to nie było sporządzane notarialnie, pan Nowak sobie tego nie życzył.

Usiłował przypodobać się za wszelką cenę. Uśmiechał się jowialnie, częstował papierosami i kawą. Oczywiście, oczywiście... Jest tu mała furtka, która zezwala mu na wcześniejsze ujawnienie zapisu przed oficjalnym stwierdzeniem zgonił klienta. „W wypadku mojej śmierci lub gdyby mi się coś stało w nieprzewidzianych okolicznościach...” — napisał Kazimierz Nowak własną ręką. Dziwne. Czy tak się pisze w testamencie? Co takiego nadzwyczajnego mógł przewidywać Nowak, co mogłoby uruchomić postępowanie spadkowe? Porucznik Kwaśniak poprosił o wyjaśnienie.

Mecenas Chrzanowski zniżył głos do poufnego szeptu:

— Wie pan, znamy się z Nowakiem już wiele lat i zawsze mówiłem, że 2 niego kawał dziwaka. Coś w gatunku — tu zrobił palcem znaczące kółeczko w okolicy czoła. — Zawsze jakby się czegoś bał. Rodzaj manii prześladowczej. Twierdził, że go wszyscy oszukują, okłamują. Buł rac, że go okradną. Albo to jego muzeum. Sugerował, że władze go obserwują i pewnie wsadzą. „Ależ za co mieliby ciebie wsadzić, Kaziu?” — pytałem. On na to machał desperacko ręką i odpowiadał: „A bo to koniecznie musi być za co?” No i taka była z nim mowa. A nieraz mówił, że pewnie zwariuje z tego wszystkiego, śmiać mi się z niego chciało. Panie, jakie niektórzy ludzie miewają ciężkie obowiązki państwowe albo komplikacje rodzinne! Gdyby każdy z tego wariował, toby szpitali psychiatrycznych zabrakło. A on miał tylko to muzeum miejskie, wielka mi rzecz!

— Kiedy Nowak nabył tę połowę willi przy ulicy Mickiewicza?

— Jakies osiem lat temu. Sam załatwiałem mu wszystkie formalności. Papiery dotyczące tej transakcji są w kopercie, którą pan porucznik mi przyniósł. Zamieszkał w tym bliźniaku sam i ciągle trzął się ze strachu, że go napadną, obrabują, zabiją. Poradziłem mu, żeby się ożenił. Na początku opierał się. Wydziwiał, że będzie mu baba w interesy nos wsadzać, wtrącać się. Wreszcie wyznał mi w jakiejś chwili szczerości, że on do małżeństwa w ogóle się nie nadaje: cierpi na niemoc. A taka zaraz będzie chciała, żeby spełniał małżeńskie obowiązki. Powiedziałem, niech znajdzie kobietę, której na tym nie będzie zależało. — Mecenas zachichotał frywolnie.

— No i znalazł tę Jolantę — domyślił się Kwaśniak. — Z pewnością nie wtykała nosa w mężowskie sprawy. Niczego od niej dowiedzieć się nie można. — Stwierdził z zaskoczeniem, że gdy mowa o Jolancie, serce zaczyna mu bić przyspieszonym rytmem.

— Przypuszczam — potwierdził mecenas. — Ją tylko ciuchy interesują, tańce i ten chłopak, co z nią chodzi. Kolega z poczty, razem pracowali, tylko nie stać ich było na małżeństwo.

— Zenon Sikora — dopowiedział Kwaśniak. — Ale jak się ułożył ten trójkąt? Nowak zgadzał się na tego wielbiciela?

Mecenas wzruszył ramionami z pobłażliwą miną.

— Czy pan nie wie, poruczniku, jakie to dziś różne układy zdarzają się między ludźmi? Sam znałem dwóch panów, którzy zamienili się żonami i cała czwórka mieszkała w świętej zgodzie w jednym mieszkaniu. Oczywiście, taki stan był Nowakowi na rękę. Nawet polubił tego „narzeczonego” swojej żony.

— Czy Nowak ożenił się z Jolką, żeby mieć Sikorę za pomocnika?

— Ach nie, odwrotnie. Sikorę poznał dopiero, kiedy Jolka była już jego żoną. Pan Zenon przychodził do niej w odwiedziny, Nowak na pewno przyjrzał mu się uważnie, zanim zaczął mu dawać zlecenia. Sikora załatwiał mu różne sprawy. Nowak nawet mawiał: „Zenuś, synku, jak mnie już nie będzie, żeń się z Jolką. Dobra dziewczyna, nieźle już gotuje, tylko głupia. Ale o tym to ty i tak dobrze wiesz”.

Przysłuchując się wywodom mecenas Kwaśniak zdążył przejrzeć pobieżnie klauzule testamentu.

— Aha, to stąd ten zapis: „Żonie mojej, Jolancie...” Cóż, niezły spadek. Dom, umeblowanie. Gotówka, którą winien jest Nowakowi niejaki Kobza. Słyszałem już to nazwisko. Wymieniała mi je sekretarka w muzeum. Nowak podobno jeździł do niego.

— Tak — mecenas zawahał się przez chwile, ale dokończył — Kobza. Ostatnio on częściej przyjeżdżał. Przesiadali razem całymi dniami na działce Nowaka. To był ich wspólny bzik. Ale głównie interesy robili. O, Kazio lubił robić dobre interesy... Wie pan, poruczniku, nie dziwiłbym się, gdyby mu się coś „niezwykłego” stało.

Mecenas wypowiedział te słowa, sprzeczne nieco z tym, co wygłaszał na początku rozmowy, jakby z rozdrażnieniem. Z niechęcią i zazdrością.

Kwaśniak doszedł do wniosku, że mecenas na pewno mógłby dużo więcej powiedzieć o interesach Kazimierza Nowaka, skoro ten za przyjacielskie usługi zapisał mu w swym testamencie niemal wszystkie dzieła sztuki, znajdujące się w mieszkaniu przy ulicy Mickiewicza.

Gdyby nie zbawcza asysta kolegi z opolskiej komendy, starszego sierżanta Pawła Zawady, z największym trudem przyszedłoby porucznikowi Kwaśniakowi odszukanie Anatola Kobzy, chociaż znany był adres zamieszkania i numer telefonu cichego wspólnika Kazimierza Nowaka. Adres zamieszkania nie miał bowiem nic wspólnego z miejscem pobytu Anatola Kobzy.

— My znamy tego gagatka — tłumaczył Zawada Kwaśniakowi — nie od dziś. No bo jak emerytowany urzędnik bankowy nagle sobie mercedesa kupuje i co roku z żoną na wczasy za granicę wyjeżdża, to trzeba takiemu obywatelowi na rączki popatrzeć. On handluje dziełami sztuki. To duża forsa. Rzecz w tym, że wiemy, jak on to robi, ale udowodnić mu, czy zarzucić, nic nie można. Na żadnym przemyśle nie przyłapaliśmy go. Wstawi od czasu do czasu coś do desy albo jakiemuś muzeum zaproponuje kupno i mówi, że z tego żyje. Obraz po wujku, porcelana po babci, stara biżuteria to żony posag. Już i urząd finansowy na niego napszczaliśmy, ale bez skutku. Jak coś sprzedaje państwowej instytucji, to za każdym razem procent mu potrąca i jest w porządku. Widziałeś jego mieszkanie? Tam gdzie byliśmy na początku.

— No tak — przyznał Kwaśniak. — Nic nadzwyczajnego, żadne muzeum. Tego, co tam jest, nawet na jedno koło do mercedesa by nie wystarczyło.

— Właśnie — zachichotał Zawada. — Bo on swój towar nie w domu trzyma, tylko po ludziach, płaci im za to określoną sumę miesięcznie i prócz tego procent od każdej transakcji.

— Więc są zainteresowani, żeby dobrze pilnować tego, co mają na składzie...

— Tak, zwłaszcza że to przeważnie osoby starsze, niezbyt zamożne albo z niedużą emeryturą. Zależy im na takim sporym, stałym dochodzie. Nie napracuje się, a forsa leci. Warunek: buzia w kubeł. Z nikogo słowa nie wydusisz, sam się przekonasz.

Zatrzymali się przy masywnych drzwiach wejściowych na pierwszym piętrze staroświeckiej kamienicy. Wygrawerowana mosiężna tabliczka głosiła: „Emilia Orliczowa”. Po dłuższym wypytywaniu „kto” i „w jakiej sprawie”, brzęknął łańcuch, szcęknęły kilkakrotnie zamki.

— Twierdza — mruknął ironicznie Kwaśniak. Pani domu leciwa, ale zadbana, ubrana ze skromną elegancją, z pewnością zasługiwała na miano osoby wytwornej. Zachowywała się godnie i powściągliwie. Wyjaśniła, że pana Anatola Kobzę widziała ostatnio tydzień temu, kiedy małe towarzystwo zebrało się w jej domu na partyjce niedzielnego bridża i doprawdy nie rozumie, dlaczego milicja poszukuje tego pana w jej mieszkaniu. Cóż miałby tu robić w taki dzień i o lej porze?

Kwaśniak z ciekawością rozglądał się dookoła. Dwa pokoje zastawione antykami, wyściełone dywanami, przypominały dekorację z telewizyjnego spektaklu o słodkim życiu wyższych sfer towarzyskich. W kilku miejscach tykały ozdobne zabytkowe zegary — każdy z nich wskazywał inny czas. Ściany były tak gęsto obwieszane sztychami, że prawie nie było widać tapety. W szklanej gablocie połyskiwała stara porcelana. Pani Emilii stanowczo nie podobało się zainteresowanie Kwaśniaka tymi eksponatami.

— Zna się pan na tym? — spytała z przekąsem i, nie czekając na potwierdzenie, zaczęła skwapliwie wyjaśniać, mimo że nikt jej nie pytał. — To wszystko, co mi pozostało z rodzinnego dobytku... Mój ojciec zbierał sztychy, a matka kolekcjonowała porcelanę. Po prostu kochała się w tych cackach... — westchnęła rzewnie.

— A zegary? Czyżby pani...? — rzucił kpiąco Kwaśniak.

Trochę się speszyła, nerwowo zacierała dłonie, ozdobione licznymi pierścionkami. Odpowiedziała wyniośle i chłodno:

— Nie, nie ja. Mój nieboszczyk mąż był zegarmistrzem. Miał pracownię, znaną firmę. Ale musiał ją zlikwidować. To zostało. Zachowałam na pamiątkę. Chyba mi wolno?!

— Ależ tak, tak — uspokajał ją ugodowym tonem starszy sierżant Zawada.

Gdy wyszli, masywne drzwi zatrzęsnęły się za nimi z hukiem, znów zabrzęczał ciężki łańcuch, zazgrzytały zasuw. Teraz dopiero dystyngowana pani dała upust złemu humorowi, w jaki wprawiała ją niepożądana wizyta.

— Od jutra zaczniesz łądować te nieszczęsne zegary do desy — roześmiał się Zawada. — Żeby nie mieć za wysokich obrotów, Kobza tak czasami robi. Podstawia tych swoich magazynierów.

Po kilku nieudanych próbach odnalezienia Anatola Kobzy w jego melinach, udało się Kwaśniakowi i Zawadzie spotkać poszukiwanego w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. Siedział w parku na ławce i okruciami chleba karmił gołębie.

— Aha ktoś zdążył go już ostrzec — mruknął cicho Zawada.

Anatol Kobza był smutny. Jego wysoka, chuda, koścista postać aż garbiła się od przygniatającego ciężaru troski. Pociągła, starannie wygolona twarz wyrażała cierpienie. Oczy jednak przeciwnie — wysyłały spojrzenie ostre, czujne, nie pozbawione złośliwej ironii. Nie okazywał żalu z powodu tajemniczego zniknięcia kolegi po fachu.

— Kiedy ja go widziałem ostatni raz? — powtórzył pytanie zadane przez Kwaśniaka, jak gdyby usilnie starał się wniknąć w jego treść. Szukał Okularów, grzebał w kieszonkowym kalendarzyku, upstrzonym notatkami. — Dwudziestego drugiego czerwca. Tak, na pewno to było dwudziestego drugiego czerwca. O, tu mam zapisane. — Stuknął w notesik długim, kościstym palcem.

— Co pan mu przywiózł? Co to była za transakcja? — strzelił prosto z mostu Kwaśniak.

Kobza w zamyśleniu wysypał z papierowej torebki resztę okruchów na ścieżkę. Nie zrażone obecnością dodatkowych osób gołębic łąpczywie rzuciły się na zdobycz. Największy energicznie dziobnął w łebki dwa mniejsze, złapał spory okruch i odleciał. Pokonane musiały zadowolić się byle czym.

— Wcale nic są takie łagodne uśmiechnął się chytrze pan Anatol, wskazując ruchem głowy ptaki. Transakcja... Pan pytał o transakcję... — miał irytujący zwyczaj powtarzania zadawanych mu pytań. — A no była, była. W księgowości, w muzeum może pan sprawdzić. Przywiozłem dla muzeum jedną rzeźbę drewnianą, polichromowaną, święty Piotr z kluczem, z szesnastego wieku... Trzy kubki cynowe i dzbanek... Aha. i jeszcze dwie figurki miśnieńskie.

— Ten święty Piotr to podobno falsyfikat — zauważył kąśliwie Kwaśniak. Przypomniał mu się Aniołkiewicz, który twierdził, że Nowak często daje się nabierać.

Kobza zlekceważył tę insynuację.

— Ja tam nie wiem... Sprzedawała tanio wdowa po kościelnym z Kukułowa. to wzięłem. Nie jestem historykiem sztuki. Trochę znam się na tych rzeczach, bo zaraz po wojnie prowadziłem z Nowakiem do spółki mały antykwariat w Lublinie, i tyle. Oni w muzeum mają rzeczoznawców, komisję, niech orzekną. I tak wszystkich pieniędzy za ten zakup jeszcze nie dostałem. Trzydzieści tysięcy Nowak jest mi jeszcze winien.

— To dlatego przyjeżdżał pan dwukrotnie do muzeum i do Jolanty Nowakowej?

— No właśnie. Bez gotówki interes nie idzie.

— A nam wiadomo, że widział się pan z Kazimierzem Nowakiem jeszcze raz, po dwudziestym drugim czerwca. Dokładnie, następnego dnia, dwudziestego trzeciego. Tylko że tym razem Nowak przyjechał do pana, do Opolu. Kazał kupić bilet na autobus i wziął w kasie zaliczkę. W głosie Kwaśniaka brzmiała niezbita pewność. Uzyskanie tej wiadomości kosztowało go dużo trudów, nerwów i cierpliwości. Księgowy, pan Szymczak, był dyskretny do przesady. Raz na zawsze miał zapowiedziane przez pana dyrektora, że nikogo nie powinno obchodzić, dokąd on wyjeżdża.

Kwaśniak nie przypuszczał, że ta wieść zrobi aż takie wrażenie na Anatonu Kobzie. „Aż go zatkało” — określi to później Zawada, używający zwrotów niezbyt wybrednych. Kobza wybałuszył oczy, mamrotał coś do siebie pod nosem, trzęsły mu się ręce, gdy upychał z powrotem do kieszeni swój kalendarzyk.

— Nic... nic mi o tym nie wiadomo. Nie był u mnie, słowo daję.

— A może odwiedzał kogoś innego? Może oprócz pana miał jeszcze jakichś znajomych w Opolu?

Kobza bez słowa wzruszył ramionami. Uważał widocznie, że w tej sytuacji lepiej się nie odzywać.

— Czy panu wiadomo — zagadnął zniecierpliwiony Kwaśniak — że Kazimierz Nowak zapisał w testamencie swojej żonie pieniądze, które pan przechowywał?

Anatol Kobza zdążył się już opamiętać. Machnął lekceważąco ręką i mruknął niedbale:

— Tak... Ale to nie jest gotówka. Dopiero może z tego być pieniądz. To są różne przedmioty.

— Jakiej wartości?

— Trzeba by wycenić. Tak na oko. około... stu tysięcy.

Ten mały przydług, moment wahania w głosie Kobzy i na końcu zdania rzucone z dużą pewnością siebie „sto tysięcy” upewniły Kwaśniaka, że pan Anatol kłamie w żywe oczy. Błyskawicznie przeprowadzona w mieszkaniu Kobzy rewizja ujawniła skrupulatnie prowadzone rachunki, z których wynikało niezbi- cie, iż udział Kazimierza Nowaka w przedsięwzięciach jego cichego współnika oszacować można co naj- mniej na pół miliona, jeśli nie więcej.

* * *

Po powrocie do komendy Kwaśniak zastał czekającego na korytarzu Zenka Sikorę, a na biurku kartkę nagryzmołoną przez któregoś z kolegów: „Dzwoniła twoja mama, że przestaje ci gotować. Zmarnowała się jej zupa kartoflana z kluskami, bo jak łąto i upał, to ile dni można taką zupę odgrzewać?!”. Z rozczuleniem pomyślał! o ulubionej, lecz zmarnowanej zupie, zwłaszcza że bigos, połknięty w pośpiechu na stacji PKS w Opolu natarczywie mu o sobie przypominał. Tę, zdawałoby się, uboczne okoliczności sprawiły, że potrak- tował wezwanego na przesłuchanie doręczyciela z Urzędu Pocztowego numer trzy dość niezyczliwie. W podświadomości kiełkowała jednak chyba także cicha zazdrość o Jolkę. W dodatku miody człowiek zgłaszał pretensje, że czeka tu od południa i że obywatel porucznik musi mu dać zaświadczenie, bo kierownik urzędu jest formalistą i gotów potrącić ten dzień z urlopu.

— Uważaj, Sikora,—żebym ja tobie nie zaaplikował urlopu. Bezpлатnego — warknął Kwaśniak i przystąpił z miejsca do ataku. — Oskubałeś Jolkę? Przyznaj no się. A podobno miałeś się nią zaopiekować, według życzenia Nowaka...

— Jakie „oskubałem”? Z czego „oskubałem”? — zachnął się chłopak. — Bo to jej było? Starego. Ka- zał mi podjąć w PKO te osiemdziesiąt tysięcy z kawalkiem, więc podjąłem. Wyjeżdżał tego dnia po połu- dniu. Widać potrzebne mu były na jakiś interes.

— Dokąd miał jechać, nie mówił?

— A bo to on kiedy co mówi? Jego sprawy. Wścieka się, jak ktoś się wtrąca.

— Którego dnia to było, dokładnie?

— Dwudziestego trzeciego czerwca.

— Tak dobrze pamiętasz? — zauważył ironicznie Kwaśniak. .

— Bo mam dobrą pamięć — odpowiedział hardo Zenek. — Na poczcie nie można być gamoniem. A pamiętam jeszcze i przez to, że tego dnia wieczorem szliśmy na ubaw do Danki, koleżanki Jolki, która miała imieniny.

— Całą sumę oddałeś Nowakowi? — naciskał Kwaśniak. — Bo jak on się odnajdzie i okaże się... Marny twój los... Podobno z niego krewki staruszek. To twoja jawa pod komendą stoi? Wygląda na nową. Widziałem ciebie na niej kilka dni temu. Na pasach o mało staruszki nie potrąciłeś. Nie pamiętam ciebie jako motocyklisty. Chyba niedawno ją kupiłeś? — Naumyślnie wolno cedzi! słowa, żeby zdenerwować Si- korę. Udało się.

— No tak! — krzyknął chłopak niemal histerycznie. — Moja! Zawsze chciałem mieć motor, jak mnie na auto nie stać. Mówiłem o tym nieraz staremu. Mało to mu spraw załatwiałem? Dusigrosz, udławiłby się tą swoją mamoną. Więc tak. Jemu dałem pięćdziesiąt tysięcy, bo tyle chciał. Reszta miała być dla Jolki i dla

mnie, po połowie. Bo powiedział, że nie wie, na jak długo wyjeżdża, więc żeby Jolka miała na życie. A ja miałem tę jawę zadatkować. Kolega sprzedawał okazjynie, bo talon na samochód dostał. Ale on chciał całą sumę, trzydzieści. Pomyślałem, że Jolce później oddam, nie spieszy się. I tak zaraz na ciuchy wszystko wyda.

Mówiąc to nerwowo pocierał dłonią policzek i teraz dopiero Kwaśniak przyjrzał się dokładniej twarzy przesłuchiwanego.

— Krakę miałeś? Czy opadło cię stado wściekłych kotów? — zapytał z udanym współczuciem. Policzki i czoło Zenka nosiły wyraźne ślady zadrapań. Pod okiem widniał świeży siniak.

Zenek wzruszył pogardliwie ramionami.

— Głupia kocica — mruknął niechętnie. — Wściekła się jak się dowiedziała o tej forsie. Musiał jej pan porucznik o tym mówić? Co innego między nami, mężczyznami. Rozumiemy się, no nie? — uśmiechnął się przymilnie.

— Nie bardzo — odparł chłodno porucznik.

Rozdział 5

Sprawa, z początku pozoruje dość prosta, zaczynała nastroczać trudności. Na nic się zdała usilna obserwacja, jakiej poddano krąg ludzi zmazanych z zaginionym dyrektorem Nowakiem. Jolka spędzała większość czasu w kawiarniach i na plaży nad rzeką, gdzie opalała się w czerwonym bikini w białe grochy i twierdziła, że nareszcie ma spokój i wolność. Zenek Sikora asystował jej nadal, o ile pozwalał mu na to wolny od służby czas, choć po prawdzie bardziej absorbowwała go ukochana jawa. przy której stale miał coś do roboty. Sporo czasu spędzał też na działce Nowaka, zwłaszcza wieczorami i nawet często nocował w drewniaczku, zamykanym na solidną kłódkę.

Porucznik Kwaśniak rozglądał się uważnie po działce Nowaka, którą postanowił sobie pewnego dnia obejrzeć. Jego zdaniem bowiem, tajemnica zniknięcia dyrektora małego miejskiego muzeum kryła się nie w działaniu jego otoczenia, ale w jego życiu osobistym. Trzeba więc było poznać to życie, do którego niewątpliwie należał także czas, spędzany pracowicie na tym zadbanym kawałeczku ziemi. Niestety, ogródek nosił już wyraźne ślady braku troski właściciela. Zenek Sikora najwidoczniej nie spełniał pokładanych w nim nadziei i niedbale wykonywał obowiązki zastępcy swego mocodawcy. Na grządkach warzywnych pienieło się bujnie zielsko, nie podparte i nie podwiązane dalie łamiąc się ścieliły się po ziemi, przekwitłe róże nie były przycięte, pod czereśnią leżało pełno opadłych, zgniłych już owoców. Jedno, czym się zajmował Zenek, to było prawdopodobnie pieczenie kartofli. Obok zrujnowanej, niedbale przekopanej grędy, widniały ślady wielokrotnie palonego ogniska. W kupkach popiołu tkwiły szerniałe patyki i kulki kartofli. Gdzieś niedziedzie poniewierał się uschnięty krzaczek porzeczki, która tu kiedyś rosła. W każdym razie wśród sąsiednich, starannie pielęgnowanych działek, ta sprawiała wrażenie ruiny. Kwaśniak pomyślał: jeżeli Zenek tak

zmarnował skarb, powierzony mu z pewnością nie bez jakiejś rekompensaty, dorobek wielu lat pracy jego właściciela, to na pewno wie, że ten właściciel już się po niego nie zgłosi. Sikora wie, że Nowak nie żyje.

Kwaśniak zauważył w tym momencie, że zza niskich, na zielono pomalowanych sztachetek, którymi działka Nowaka odgrazona była od sąsiedniej, ktoś mu się bacznie przyglądał. Był to starszy pan o gęstej, siwej czuprynie i bujnych, również siwych wąsach, w ogrodniczym kombinezonie. Kwaśniak przypomniał sobie, gdzie widział już raz tę oryginalną sylwetkę. Przecież to sąsiad Nowaków, współwłaściciel bliźniaka, którego minął w pośpiechu, gdy po raz pierwszy rozmawiał z Jolką. Starszy pan znów miał minę, jak gdyby chciał mu coś zakomunikować. Kwaśniak zachęcająco zasalutował, a starszy pan, wskazując ręką zrujnowaną działkę, odezwał się z ubolewaniem:

— Co, przygląda się pan temu bałaganowi? Za Nowaka to tu inaczej wyglądało, o, zupełnie inaczej! Cacko nie ogródek. Pan porucznik pozwoli, Kwiatkowski jestem, Tadeusz, sąsiad Nowaków. W jednym czasie te działki zakładaliśmy, dlatego obok. W szachy lubiliśmy sobie też pograć, o, pod tą czereśnią.

— Sikora miał podobno pilnować działki w czasie nieobecności Nowaka... — rzucił od niechcienia Kwaśniak.

— Eee tam, panie poruczniku, gdyby Nowak ot tak sobie po prostu wyjechał, to milicja by się nim nie zajmowała. On zresztą nigdy na długo nie wyjeżdżał, dwa, trzy dni i tyle. A ostatnio w ogóle prawie z miejsca się nie ruszał. Wyjazd... Wyjechał, ale na tamten świat, to panu powiem. Ot co! — Starszy pan widocznie lubił pomądrzyć się i dać do zrozumienia, że nie tylko w milicji zdarzają się dociekliwi ludzie. Kwaśniak postanowił pociągnąć go jeszcze za język.

— Na tamten świat, pan mówi. parne Kwiatkowski. Ale trupa nie ma.

— Pewnie źle szukacie — odpowiedział kąśliwie starszy pan.

— I komu by mogło na tym zależeć, żeby Nowaka na tamten świat wyprawić? — Kwaśniak udawał naiwnego, chociaż sam mógłby wymienić kilka zainteresowanych osób. Zaraz starszy pan pewnie zacznie go pouczać z właściwym sobie poczuciem wyższości.

— Komu? Pan porucznik jeszcze pyta po tylu dniach śledztwa? A ta dzierlatka, z którą się ożenił, nie wolałaby zamienić. starego męża na młodszego, willę w dodatku dziedzicząc? A ten współnik jego, Kobza czy jak tam, co to mu paki zwoził i wtedy w drewniaku się zamykali i interesy ubijali? Przy takich interesach, panie święty, różnie się może zdarzyć... Słyszałem, że byliście już u niego w Opolu. Mówił co ciekawego?

— Przy interesach, pan mówi... a jakie to były interesy? — spytał Kwaśniak, robiąc obojętną minę i ignorując pytanie.

— Dokładnie nie wiem — pan Kwiatkowski zmieszał się nieco i najwyraźniej wycofywał, uznał, że powiedział za dużo. — Ja się nie wtrącałem ani nie wypytywałem. Czasami zdrowiej jest nie wiedzieć, niż wiedzieć, no nie? .

— A Sikora? — zainteresował się Kwaśniak. — Jakie pomiędzy nimi panowały stosunki? Nie bardzo mogę się rozeznać.

— Ani ja — mruknął Kwiatkowski zadowolony, że zeszli z tematu Kobzy. — Przecież wiedział, że Jolka miała chłopaka. Mimo to ożenił się z nią. I pozwalał, żeby dalej się widywali. Mało tego, wyglądało tak, jakby to on, a nie ona, kochał się w Zenu. Zenuś to była jego prawa ręka. Zenuś to, Zenuś tamto... Słowo daję, że można by było ich o homoseksualizm podejrzewać, gdyby Sikora nie był taki babiarz, a No-

wak podobno impotent. Kiedyś powiedział mi: „Ma się z byle kim pętać, to wolę Zenka. Przynajmniej wiem, kogo mi pod dach sprowadza. A jego już osiodłałem, chodzi w cuglach”.

— Pewnie go jakoś wynagradzał?

— I to jak! Ale powiem coś panu, poruczniku. Tylko niech pan nie mówi, że ode mnie wie. Na ostatki to oni strasznie się pokłócili.

— Kto z kim?

— A no Nowak z Zenkiem Sikorą. Sam słyszałem, bo pokrzykiwali na siebie, aż się rozlegąło. Zenek czegoś od Nowaka chciał, a Nowak się opierał. Zenek krzyknął, że i tak na swoim postawi.

— Kiedy to było?

— Zaraz; niech sobie przypomnę. A chyba tego dnia, co Nowak miał wyjechać. Rozpoczęliśmy partię szachów, ale nie skończyliśmy. Powiedział, żeby zostawić pionki na szachownicy tak jak są, to dokończymy następnego dnia. Bo on tylko na parę godzin jedzie do Opola. To było chyba dwudziestego trzeciego czerwca, wczesnym popołudniem. Inni sąsiedzi panu porucznikowi dokładniej powiedzą, bo pani Apolonia Łukasikowa też mi coś wspominała, że jakieś krzyki słyszała. Ale podobno w nocy. O tym już nic nie wiem, bo na działce nic nocuję. Proszę, jeżeli pan chce z Łukasikami porozmawiać, możemy przejść przez moją działkę. — Uchylił uprzejmie furtki w ogrodzeniu, dając do zrozumienia, że posłuchanie skończone. Może już powiedział wszystko, co miał do zakomunikowania... Ale tego Kwaśniak nie był całkiem pewien.

Mateusz Łukasik niezbyt był skory do rozmowy. Absorbowała go kupka porzeczkowych krzaczków, które przycinał i oczyszczał, przygotowując do zasadzenia. Narzekał przy tym co niemiara: że to nie czas teraz na przesadzanie porzeczek, ale musi to zrobić, boby się zmarnowały do reszty, że powydzierane z ziemi bez sensu i że Jolka go bezczelnie oszukała, każąc sobie zapłacić aż tysiąc złotych. Dał, bo mu żal było tych krzaczków. No i zawsze chciał mieć na działce czarne porzeczeki, a to dobry gatunek. Znał się na nich nieboszczyk Nowak, oj, znał...

— Dlaczego mówi pan „nieboszczyk”? — zapytał Kwaśniak.

— A no wszyscy tak powiadają — mruknął niechętnie stary kolejarz i na tym skończyć się musiała ich rozmowa, gdyż na horyzoncie pojawiła się pani Apolonia. Nie miał już okazji do zabrania głosu.

Dowiedziawszy się, że pan porucznik przyszedł właściwie do niej, rozpromieniła się i obrzuciła swego małżonka triumfalnym spojrzeniem. Ulokowała Kwaśniaka na ławeczce, poczęstowała go świeżo urwanymi malinami, a sama przysiadła obok na stołeczku.

Kwaśniak najpierw pochwalił maliny, a potem zagadnął:

— Niech pani się postara przypomnieć sobie noc z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego czerwca. Albo wieczór dwudziestego trzeciego. Czy to wtedy słyszała pani jakieś krzyki na działkach?

— Czy słyszałam?! A juści, że słyszałam. Umarłego by taki krzyk obudził. Tylko jego — tu kiwnęła głową w stronę męża, w dalszym ciągu obojętnie przebiegającego krzaki porzeczek — nic nie zbudzi, choćby mu nad uchem z armaty strzelali.

— Więc to było w nocy?

— A tak, późną nocą.

Coś tu się nie zgadzało z tym, co opowiadał Tadeusz Kwiatkowski. Głośny spór Nowaka z Sikorą musiał mieć miejsce dużo wcześniej — pomyślał Kwaśniak i zapylał:

— Czy to był jeden krzyk, czy więcej głosów?

— Jeden. Trochę przygłuszony, ale taki, że aż ciarki mnie biorą, jak sobie przypomnę. A inne głosy to też były, tyle że trochę wcześniej. Jakieś ludzie szli aleją i hałas robili, że nie daj Bóg. Chyba pijane. Krzyczeli, śmieli się, śpiewali. Ale sobie poszli. Tak co i raz budziłam się tamtej nocy. I starego zbudziłam, znaczy się, męża. Chciałam, żeby sprawdził po sąsiadach, czy coś się nie dzieje. Ale on, jak to on, nie lubi, żeby go po nocy budzić. Ino wyjrzał i powiedział, że mi się coś przywidziało albo przyśniło, i tyle.

Łukasik wyprostował się i postanowił wtrącić się do tej tyrady:

— Jakby pan porucznik czterdzieści lat, jak ja, na kolei jako maszynista porobił, to też na stare lata chciałby się porządnie i spokojnie wyspać. Wyszedłem za próg, bo mnie szarpała i szarpała, ale cicho było wszędzie i pusto, to się położyłem na powrót.

— A skąd ten krzyk się rozlegał, z której strony? — Kwaśniak chciał mieć pewność, choć podejrzewał, że otrzyma odpowiedź, jakiej się spodziewał.

— Mnie się widzi, że od strony działki Nowaków — odparła już bardziej powściągliwie, jakby z wahaniem, ale zaraz potem znów się ożywiła. — Mnie to się zdaje, panie poruczniku, że tę pareczkę trzeba wziąć w obroty. Nowakową i tego jej przyjaciela. Dziś, jak stałam w kolejce za mięsem, wszystkie kobity mówiły, że ani chybi to oni starego sprzątli. Tyle tego dobra miał... A młode to dziś pazerne, byleby się nachapać, choćby kosztem czyjego życia, i hulać.

— Nie gadałabyś głupot, matka. Takie babskie ploty... Skaranie boskie z tymi kolejkami, tylko ozorami miałą byle co — huknął zdenerwowany pan Mateusz.

— Skaranie boskie — zajazgotała zajadle, bo wyczuła cichego sojusznika w Kwaśniaku — z takimi bezeceństwami, jakie u Nowaków się działy. Mówiłam, że nic dobrego z tego nie wyniknie, i rację miałam. I drugie skaranie. to z takimi co jak krety głuche i ślepe w ziemi tylko ryją, na świat boży nie wyjrzą i wszystko im jedno, co się dzieje...

Nie ulegało wątpliwości, że miała na myśli swojego małżonka, który tylko westchnął żałośnie, machnął ręką i wrócił do swoich porzeczek. Dodała jeszcze na zakończenie:

— A ja przeczucie miałam tamtej nocy, że coś złego się stanie.

— Tak. tak, kobiece przeczucia to ważna i niezawodna rzecz — potwierdził ze skwapliwą aprobatą Kwaśniak, czym zdobył sobie do reszty sympatię pani Apolonii. Za to pan Mateusz wzruszył lekceważąco ramionami. Cóż to za funkcjonariusz służby śledczej, który opiera się na babskich przeczuciach! Zabobniarz, nie milicjant.

— I coś ty mu naplotła — fuknął, gdy Kwaśniak się oddalił. Obraził się najwidoczniej za to, że przezwala go „kretem”. — Już ci mówiłem, żebyś język za zębami trzymała. Nic nam do tego.

— A ja wiem. czego się tak pieklisz — zazwyczaj potulna pani Apolonia niespodziewanie tym razem wyrzuciła z siebie to, co ją prawdopodobnie gnębiło od dłuższego czasu. — Ty z tą Jolką, lafiryndą trzymasz. Ciebie już też omotała. Czy ja nie widziałam, jak co i raz ganiałeś, żeby popatrzeć jak tym pupskiem w opiętych spodniach kręci, że mało jej nie pękna! I jeszcze jej dać tysiąc złotych za taką kupkę zgnilizny! Skleroza ciebie bierze na stare lata! — obróciła się na pięcie i zatrzasnęła za sobą drzwi domku z takim impetem, że zadygotały wątle ścianki.

Okazuje się, że nawet zazdrość kobieca może stać się sojusznikiem milicji, czego Kwaśniak zupełnie nie podejrzewał. Obejrzał jeszcze raz dokładnie pozamykany na wszystkie spusty domek Kazimierza Nowaka i udał się na ulicę Mickiewicza, żeby zażądać od Jolki kluczy.

W mieszkaniu Nowaków zastał czułą parkę. Nie była to jednak scena miłosna, lecz bardziej prozaiczna, choć zapewne nie mniej ważna. Zenek wcinał w kuchni tęgiego schaboszczaka z apetycznie wyglądającą surówką z kiszzonej kapusty. Jolka przyglądała się temu z rozczuleniem, skubiąc od niechcienia mielony kołt. Oboje nie wykazali entuzjazmu na widok gościa.

— Przepraszam, że tak wszedłem, ale drzwi frontowe były otwarte...

— A bo ja tak wpadłem na chwilę. Żeby coś na ząb wrzucić. Jeszcze obchodu nie skończyłem — mruknął Zenek z ustami pełnymi jedzenia.

— To się pan zwolni u kierownika, kolega pana zastąpi. A my pojedziemy na działkę. Pewnie pan ma klucze od tej budy zamkniętej na cztery spusty.

Zenek skrzywił się, a Jolce wypadł z ręki widelec.

— Skarby tam jakies pan dyrektor trzyma, czy może filię muzeum ma zamiar założyć — dogadywał Kwaśniak, podczas gdy Jolka sprzątała ze stołu, a Zenek udawał, że szuka kluczy, które, jak się okazało, miał we własnej kieszeni.

Spółeczność działkowa jest bardzo solidarna, ale i ciekawska. Ze wszystkich stron ku grupce, przybyłej na działkę Nowaka, obracały się głowy jak słoneczniki ku słońcu. Jolka nic sobie z tego nie robiła. Demonstracyjnie defilowała wzdłuż i wszerz ogródka, wyszukując co piękniejsze, ocalałe jeszcze dale, aby zrobić z nich bukiet. Ani jej się śniło wchodzić do budy, jeszcze Zenek zażądałby, żeby tam posprzątała. Kwaśniak i Sikora z łatwością sforsowali wejście do domku. Chociaż dyrektor Nowak lubił się barykadować, zarówno w domu, jak i na działce, wszystkie kłódki i zamki były utrzymane w należytym stanie, świeżo naoliwione i nic się nie zacinało. Ba, nawet nie zgrzytało. Gdy Zenek otworzył okiennice, oczom Kwaśniaka ukazał się dość przytulny pokój, wyposażony we wszystko, co umożliwiałoby przebywanie tu okrągłą dobę do późnych jesiennych chłódów. Na półce stały naczynia stołowe i peweksowskie puszki z różnymi przetworami, była i płyta elektryczna, i czajnik, i stół nakryty cepeliowską serwetką, i dwa wygodne fotele.

Nawet mały tapczanik stał w rogu, ale tu już było widać, że ktoś niedbały z niego korzystał, gdyż rozrzucona pościel nie była schowana do wnętrza. Zenek gładko się przyznał, że to on ostatnio nieraz tu sypiał, żeby mu Jolka głowy nie zawracała. W podłodze widniała kłapa z kółkiem, najwidoczniej prowadząca do piwniczki.

— Latarki nie potrzeba, tam jest światło — poinformował Kwaśniaka Sikora, gdy odchyłili kłapę i zaczęli schodzić po drewnianych stromych schodkach.

Był to istny bunkier. W odróżnieniu od zewnętrznego budynku cały był wybetonowany, z wyjątkiem podłogi, która miała równo ułożoną cegłę. Pod ścianami stały skrzynki z warzywami przysypanymi piaskiem, ale główną uwagę zwracał solidny stół, wyglądający jak pracownia alchemika, tyle było na nim różnych słoików, butelek i puszek. Znajdowały się też przybory malarskie: tubki farb, kredki i pędzle. Wzdłuż ścian biegły półki. Z sufitu zwisała potężna, dwustuwatowa żarówka, którą można było dowolnie opuszczać i podciągać do góry.

— Co to jest? — zdziwił się Kwaśniak.

Zenek obojętnie stukał czubkiem buta w krawędź wystającej nieco cegły. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się kpiąco: tego to mu pan władza nic przywali.

— To już lepiej ten stary chrzan Kobza pana porucznika poinformuje. Zawsze tu schodzili i tu się zamykali, jak Kobza towar przywoził.

Tym razem jednak żadnego „towaru” nie było. Właściciel wysprzątał widocznie swój schowek do czysta.

Kwaśniak z ulgą wy dostał się na dwór. Nie wiadomo czemu, piwniczka sprawiła na nim wrażenie grobowca. Zenek włókł się za porucznikiem mamrocząc coś pod nosem. Czasem tylko sły chać było soczyste „cholera”. Jolki nie zastali w ogródku. Sły chać było za to jej gromką, piskliwą tyradę, którą wygłaszała na działce, sąsiadującej z Łukasikami, tej, której właściciele lubowali się w uprawie wisien. Jolka miała pretensję do tęgiej, energicznej niewiasty w średnim wieku, a przedmiotem sporu była niebieska szmatka, którą sobie wzajemnie wrywały.

Gdy Kwaśniak postanowił wyjaśnić w czym rzecz, usłyszał prawie jednocześnie odpowiedzi:

— To mój szalik!

— A skąd ja mam to wiedzieć? Znalazłam i tyle.

— Zaraz, zaraz. O co chodzi? — spytał Kwaśniak.

— A o to, że to mój szalik. Prezent od męża. Musiałam go zgubić, a. teraz znajduję go tu, na czubku drzewa i ta pani nie chce mi go oddać.

— Od męża prezent, to trza pilnować. A nie siać po drogach. Znalazłam, już będzie z miesiąc temu, zaczepiony na płocie od alei, to wzięłam. Bo pan porucznik może nie wie, że ptaki niebieskiego koloru nie lubią, a jak się to porusza na wietrze, to się zwyczajnie boją i wtedy na gałęziach nie siadają i wisien nie oskubują. Zawsze wieszam jakieś niebieskie wstążki albo gałganki i żaden wiśni nie ruszy. Ten szalik właśnie dobry był. Lekki i duży. No i nad czym lamentować, jak jeszcze podarty. O siatkę się podarł, co na niej wisiał.

Gruba właścicielka wiśniowego sadu była niewątpliwie górą, ale tu wtrącił się Zenek, asystujący Kwaśniakowi.

— To Jolki szalik, na pewno, znam go. Ale skąd on się tu znalazł? Może z twojej działki przyfrunął?

— Ach nie! — Jolka zapaplała rozkosznie, rada, że odzyska zgubę. — Musiałam go posiać tego wieczora, kiedy szliśmy tędy całą paką do Danki na imieniny. Pamiętasz, Tomek i Michał tak wtedy rozrabiali, aż musiałam od nich uciekać...

— Czy pamięta pani dokładnie, którego to było dnia? — spytał szybko Kwaśniak.

— Ależ tak! To było dwudziestego trzeciego czerwca. Poszłam na te imieniny, bo mój stary wyjechał... On Danki nie lubi.

— O której godzinie to było?

— Po jedenastej chyba. Chłopaki jeszcze piwem się zaprawiali w „Magnolii”, że ledwo ich wyciągnęłam.

Rozdział 6

— Szliście więc wtedy na te imieniny całą gromadą, osiem osób?

Na komendzie tupet i zalotność Jolki stopniały. Przed biurkiem Kwaśniaka siedziała po prostu młoda, wystraszona dziewczyna, do świadomości której zaczynało docierać, że wplątała się w jakąś poważną sprawę. Kiwnęła potakująco głową.

— I nikt się nie odłączył po drodze? Na przykład Sikora... — naciskał z uporem Kwaśniak. Jakoś mu minęło zainteresowanie Jolką jako obiektem adoracji. Zadurzenie okazało się na szczęście chwilowe. Może dlatego, że nie nosiła już powiewnego szlafroka, a oczęta nie osłonięte sztucznymi rzęsami nie miały uwodzicielskiego wyrazu.

— Nie — mruknęła Jolka.

— Mam tu zeznanie Danuty Jaskulskiej, u której odbywały się imieniny. Ona twierdzi, że Zenon Sikora opuścił wcześniej towarzystwo. Nie wie tylko, o której to było godzinie. Nad ranem szukała go, chciała, żeby odwiódł panią do domu, ale ktoś powiedział, że dawno już wyszedł. Musiała sama odwieźć panią do domu taksówką.

— Popiliśmy trochę za dużo — wyjąkała Jolka. — A co do Zenka... to nie wiem, kiedy nawiał. Następnego dnia zrobił mi awanturę, że się spiłam. I że flirtowałam z Michałem. I poszedł sobie, bo jak ma rano wstać do pracy, to musi się wyspać.

Zenek Sikora potwierdził to zeznanie. Odnajmował razem z kolegą, właśnie owym Michałem Trąbałą, pokój u pewnej wdowy i Michał mógłby potwierdzić, że gdy wrócił nad ranem z zabawy, zastał Sikorę śpiącego w najlepsze. Od Danki wyszedł po dwunastej. Ale od dwunastej do piątej nad ranem jest aż za dużo czasu, na który brak Sikorze alibi i który mógłby zużyć na... na przykład na odwiedzinach u Kazimierza Nowaka i na sprzątnięcie go z drogi swojego życia. Kwaśniak powiedział to Sikorze wprost.

Podczas gdy porucznik Kwaśniak zgłębiał tajniki życia Kazimierza Nowaka, ekipa, prowadząca postępowanie wyjaśniające w kwestii zaginięcia dyrektora miejskiego muzeum, zmieniła się z jednoosobowej w wieloosobową. Sprawa zaczynała się toczyć urzędowym biegiem. W przepisowym czasie meldunek dotarł do komendy wojewódzkiej i głównej, one z kolei wyznaczyły swoich ludzi do udziału w dochodzeniu, rozesłano po całym kraju fotografie i dane personalne poszukiwanego. Włączyła się też prokuratura. W komendzie wojewódzkiej zapadła wreszcie decyzja, co do słuszności której Kwaśniak nie był zbyt przekonany, choć prawdę mówiąc, to on właśnie dostarczył najwięcej danych dla jej podjęcia:

„Zatrzymać do wyjaśnienia Zenona Sikorę, pracownika dzielnicowego urzędu pocztowego, lat dwadzieścia osiem, zamieszkałego przy ulicy Dolnej 23".:

— A co robimy z Nowakową? — spytał Rokitnicki, którego właśnie przydzielono Kwaśniakowi do współpracy.

— Ja myślę — powiedział major Rudzki z komendy wojewódzkiej — że na razie zostawimy ją na wolności. Niech fruwa. Mogą się ujawnić jakieś ciekawe fakty, takie jak ten na przykład, że tajny antykwarisz Kobza nagle ni z tego, ni z owego ofiarował jej sto tysięcy złotych. Niby jako pomoc finansową dla żony dawnego współnika i przyjaciela. Chociaż słyszeliśmy, że to Nowak był mu winien jakieś pieniądze.

— Zawada z Opola donosi, że w tamtejszej desie zrobił się tłok, jak na perskim jarmarku. A mieszkania, które podnajmował jako schowki, pustoszeją w ostrym tempie. Wygląda na to, że pan Anatol Kobza likwiduje swoje interesy — referował Kwaśniak,

— No, Kobzy teraz ruszać nie będziemy. To może też okazać się ważna nitka.

— Ja mam tu jeszcze coś — relacjonował Kwaśniak. — Dowiedziałem się o tym wczoraj od tego kolejarza Łukasika, a raczej od jego żony, bo to gadatliwa niewiasta. Kiedy spisywałem ich zeznania, robiła wyrzuty mężowi, że swego bratanka, Wawrzyńca Łukasika, też kolejarza, ale pracującego w „Warsie”, wrobił w znajomość z Nowakiem. Łukasik najpierw zły był na swoją babę aż strach, a potem mi wyjaśnił, że zrobił to na prośbę Nowaka. Potrzebny był ktoś, kto często jeździ za granicę, żeby mu korespondencję woził do zagranicznych muzeów i rzeczoznawców. Nowak narzekał, że poczta źle działa i ważne listy mu często giną albo docierają poniewczasie. Sąsiedzi z działek potwierdzają, że taki rudawy gość kręcił się często na działce Nowaka. Byłem u niego w domu, ale matka powiedziała, że właśnie pojechał za granicę na urlop, podobno ma tam narzeczoną, gdzieś w Austrii, i jeszcze nie wrócił. Trochę się niepokoi, bo już powinien być z powrotem. Sprawdzam to właśnie w „Warsie”.

— Za dużo osób zaplątanych jest w sprawę Nowaka. Nie podoba mi się to — odrzekł kwaśno major.

Nic tylko jemu się to nie podobało. Nierad był także Kwaśniak, który mimowolnie mnożąc krąg zamieszanych i podejrzanых, zaczynał nabierać niejasnego przekonania, że albo ktoś naumyślnie sprawę gmatwa, albo świadomy rzeczy, wykorzystał gmatwaninę, aby upiec przy tym ogniu własną pieczeń. Może to być ktoś. na kogo nie pad! dotychczas ani cień podejrzenia.

Ale na razie miał konkretnego człowieka, którym musiał się zająć. Zenek Sikora spokojnie przeczytał nakaz prokuratora o aresztowaniu go jako podejrzanego o zabójstwo Kazimierza Nowaka i dał się zamknąć bez sprzeciwu, martwiąc się tylko, skąd weźmie forszę na adwokata. Niespodziewanie przyszła mu z pomocą Jolka. W celi zjawił się mecenas Chrzanowski, oddany konsultant prawny rodziny Nowaków i oświadczył, że wszystkie sprawy honorarium załatwiła już pani Nowakowa, że on jest święcie przekonany o niewinności pana Zenona i nie pozostaje im nic innego do zrobienia, jak ten fakt niezbitcie udowodnić. Ale on był chyba przekonany, że Kazimierz Nowak nie chodzi już po tym świecie, bo czemuż by uruchomił wykonanie testamentu i powynosił z willi Nowaków wszystkie zapisane mu osobiście przedmioty?

Jakież więc było zdumienie i rozczarowanie mecenasa Chrzanowskiego, gdy po upływie kilku dni Zenon Sikora w jego obecności, a także porucznika Kwaśniaka i prokuratora Michalskiego, oświadczył bujnie:

— Ech, nie męczcie się, ludzie. Dość już mam tej polki. To ja zabiłem starego. Tak, ja! Ohydne dziedzisko było. Tylko o forsie myślał. Ludzie nic go nie obchodzili ani jak żyją, ani co czują. Ja tę małą głupią Jolkę kochałem od lat. I kocham dalej. Ale czy można było tak lawirować w trójkę? Miałem tego dość. Zapowiedziałem mu, że koniec. Ma Jolce dać rozwód i odszkodowanie za te lata. co to u niego jak niewolnica harowała. Chciałem z nią wyjechać gdzieś i zacząć życie na nowo. Ale on powiedział, że nici z tego, na Jolce mu nie zależy, ale do mnie się przywiązał i beze mnie obyć się nie może. Pokłóciliśmy się strasznie. To było tej nocy. dwudziestego trzeciego czerwca. Od Danki z imienin zaraz uciekłem i poszedłem na działkę, bo wiedziałem, że Nowak po powrocie z Opola tam będzie. Umówiony był z tym Łukasikiem z „Warsu”,

który jechał za granicę na urlop i miał coś zabrać. Łukasik dla Nowaka szmugiel robił. Kolejarz to zawsze potrafił coś zgrabnie schować i przewieźć. Do Paryża woził, do Belgii i Holandii, czasem do Wiednia. Ale jak przyszedłem do Nowaka, to już Łukasika nie było, a stary zabierał się do domu. No i wtedy właśnie...

— A gdzie ukryłeś zwłoki?

— Na działce je znajdziecie. Tam, gdzie po porzeczkach grzęda skopana. Ale uprzedzam, że to wszystko w proszku. Bo ja je stopniowo paliłem, żeby śladu nie zostało. Polewałem czym się tam dało łatwopalnym i paliłem. A udawałem, że kartofle sobie piekę.

* * *

W ostatnich dniach czerwca z pociągu „Chopin” wysiadł na peron wiedeńskiego dworca rudawy niepozorny człowiek. W ręku miał małą podróżną torbę. Nie rozglądając się, jak gdyby całe otoczenie było mu dobrze znajome, ruszył w stronę miasta. Odprawa celna i dokumentów była raczej krótką formalnością. Przyjechał gość na urlop do narzeczonej — cóż w tym podejrzanego — i cóż może wozić warsowiec w małej walizce? Pętka kiełbasy, żeby zaoszczędzić na jedzeniu, termos, pół litra, zmianę bielizny. Polski kolejarz w Wiedniu — żaden rarytas. Kroczył śmiało ulicami miasta ku sobie znanemu celowi. Nie miał czasu na podziwianie uroków architektury i sklepowych witryn ani urody i elegancji kobiet. Napił się tylko piwa w małej gospodzie i zakąsił bułką z parówkami. Co odczuwał? Ulgę? Niepokój? Tremę, jak aktor przed odegraniem życiowej roli? Przyspieszał kroku w miarę zbliżania się do znanego domu. Mieścił się przy niedużej uliczce, zabudowanej starymi, masywnymi gmachami. Nareszcie dotarł.

Pozory często mylą. Wąska, nieco zakurzona witryna, zawalona tandetą, kryła za sobą wewnątrz sklepowe, urządzone ze smakiem, a nawet komfortowo — i jeszcze jedno, na zapleczu, obwieszane cennymi obrazami i kryjące zapewne w potężnych szafach i kilku kasach pancernych nie—były jakie skarby. Środek tego pokoju zajmowało antyczne biurko, przy którym siedział siwy starszy pan. Kolejarz śmiało podszedł do niego i, nic czekając na zaproszenie, rozsiadł się naprzeciwko w misternie rzeźbionym gdańskim fotelu.

— Późno się pan zjawia. Długo czekaliśmy — zamamrotał siwy pan w dość zgrabnej polszczyźnie.

— Tak się składało — wycedził przybyły. — Miałem komplikacje. Musiałem przeczekać.

Ale starszego siwego pana nie obchodziły kłopoty, jakie zdarzyły się jego interesantowi. Nie spytał go też o zdrowie ani nic zaproponował nic do picia, chociaż po przybyłym znać było zmęczenie.

— No, co pan przywiózł? — spytał szorstko i niecierpliwie.

Przybyły pomanipulował przy walizeczce, którą pieczołowicie trzymał na kolanach i wyciągnął z niej wkładkę, tworzącą drugie dno. Zamigotały srebrem i złotem monety, które siwy pan pochwycił łapczywie w podobne do szponów długie, chude palce. Oglądał każdą starannie przez lupę. ważył na wadze stojącej na biurku i zapisywał coś na kartce. Wreszcie skończył i niedbałym ruchem zgarnął monety na kupkę.

— To wszystko? — spytał i rzucił lekceważąco: — Błoto. Początkujący numizmatycy to zbierają. Kil-kaset dolarów, nie więcej. A gdzie dukat?

— Zaraz wyjaśnię... odpowiedział leniwie gość. dając do zrozumienia, że czuje się urażony obelżywym potraktowaniem jego bagażu. Grał na zwłokę. Powiedzieć prawdę — niebezpiecznie. Ci panowie z

Wiednia takich okoliczności z pewnością nie lubią. Oznaczałoby to zerwanie transakcji. Przegraną totalną. Lepiej skłamać, jakoś się wykręcić, odwlec sprawę. Może się jeszcze uda odzyskać tę przeklętą monetę...

Pan za biurkiem wyraźnie niecierpliwił się i ponaglał:

— No, no. Niech pan wyjaśnia. Przywiózł pan czy nie?

— Dukat ukryty jest w takim miejscu, do którego przed wyjazdem nie mogłem się dostać. A jechać musiałem, bo miałem wykupiony bilet. Niech się pan nie obawia. Dostaniecie ten dukat. Tak jest schowany, że nikt się do niego nie dobierze, a skrytkę znam tylko ja jeden. Gdybym tu w Wiedniu pozostał na stałe, jak było z panami ustalone, upoważnię kogoś w kraju, żeby przywiózł...

Mówił to wszystko z dużą pewnością siebie, ale starszego pana to nie uspokoiło. Wpadał w coraz większe rozdrażnienie.

— Nie ma dukata, nie ma umowy. To pan niech wie. Damy panu jeszcze trochę czasu, no powiedzmy, miesiąc na załatwienie tego.

Trzeba wybadać, czy istnieje odwrót, jakieś wyjście z sytuacji, gdyby to, co obiecał, okazało się tylko czczą przechwałką. Przybyły zażartował, figlarnie mrużąc oko:

— A gdyby... A gdyby się okazało, na przykład, że zgubiłem? Po prostu wypadł mi z kieszeni po drodze.

Ale za moment odechciało mu się kpinek. Starszy pan za biurkiem aż uniósł się z fotela i ryknął z furją: Patrzcie go! Zgubił! Wypadły z kieszeni! Złote sto dukatów Zygmunta Wazy, warte sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

Rozdział 7

Doktorowi Markowi Wilkoszewskiemu wrócono nie była jaką karierę naukową. Posiadał rozległą wiedzę, zwłaszcza w ulubionej dziedzinie histopatologii i najmniejsza chrząstka wszelkiego stworzenia nie miała przed nim tajemnic. Był poza tym sumienny, pracowity, szybki w robocie i co najważniejsze — miał fantazję. Czyli pomysły. Gdy rozwiązywał jakiś problem i stawiał diagnozę, zdarzało się, że jego wnioski budziły wśród kolegów i przełożonych najpierw uciechę, potem niedowierzanie i zastanowienie, a w końcu podziw. Nikt inny by na to nic wpadł — mówiono.

Pole do popisu dla swoich uzdolnień znalazł w Instytucie Kryminalistyki, w dziedzinie medycyny sądowej. Na jego ekspertyzach oparto już niejedną ważką wyrok sądowy.

Właśnie kończył pracę i z zatroskaniem studiował skrawek zeszytowej kartki. Nie była to naukowa analiza ani problem do rozwiązania zlecony mu przez jego przełożonych. Sprawa o wiele trudniejsza: lista

zakupów skreślona ręką szanownej teściowej! Tu nie było żadnych ulg ani wykrętów. Wszystko miało być i kupione. Nikt nie jest prorokiem we własnym domu. Teściowa o wiele bardziej ceniła jego sprawność w załatwianiu zakupów, aniżeli sukcesy zawodowe. Żona Marka pracowała w przedszkolu i nie mogła sprostać tym zadaniom: zanim wypchnie do domu swoje maluchy, po których odbiór rodzice zawsze się spóźniają, jest wieczór i półki sklepowe pustoszeją. Chcąc nie chcąc pan doktor zastanawiał się więc, co mu się lepiej opłaci, oblecieć osiedlowe sklepiki, czy nadłożyć drogi i pozalać wszystko hurtem w Supersamie.

W tym momencie otworzyły się drzwi i z trudem przepchnął się przez nie pracownik techniczny z potężnym workiem plastikowym w objęciach.

— Co to? Wilkoszewski spojrzał przerażony.

— A żeby się panu doktorowi nie nudziło, powiedział szef. To pilne. Bardzo pilne. I złożył swój ciężar na obitym blachą stole.

Wilkoszewski rozdarł kopertę, załączoną do przesyłki, i czytał: „Zwłoki NN, prawdopodobnie niejakiego Kazimierza Nowaka. Lat pięćdziesiąt pięć. Znajdowały się w ziemi około sześciu tygodni. Sprawca twierdzi, że systematycznie i stopniowo spalał je przy użyciu środków łatwopalnych dla zatarcia śladów. Niedopalone resztki kości wykazują jednak dziwne anomalie. Brak czaszki, którą sprawca rzekomo zatopił w rzece. Dotychczas jej nic odnaleziono. Prosimy o pilną ekspertyzę”. ?

— No to się urządziłem — mruknął doktor chowając do kieszeni listę gospodarskich zakupów.

Wiele dni i wieczorów spędził Wilkoszewski nad grzebaniem się w cuchnących szczątkach tego, co było kiedyś podobno człowiekiem. Segregował, oczyszczał ze spalenizny, pobierał próbki, po kilka razy kładł ocalałe płytki kostne pod mikroskop, jednym słowem „czarował”, jak to określali koledzy. Niektórych wzywał na konsultacje, żeby się upewnić co do wyników badań. Aż i wreszcie, pewnego dnia, gdy dopisywał ostatnią linijkę swojego raportu, wybuchnął śmiechem tak głośnym, że zbiegli się wszyscy pracownicy z sąsiednich pokojów. Jeszcze nigdy się nie śmiano tak donośnie i szczerze w tym dziale zajmującym się raczej ponurymi i poważnymi sprawami,

* * *

— No proszę — czytał major Rudzki, gdy dotarła do niego ekspertyza doktora Wilkoszewskiego opatrzone jak się należy wszelkimi podpisami i pieczęciami. Cała ekipa prowadząca śledztwo w sprawie zaginięcia dyrektora Nowaka zgromadziła się w pokoju, z ciekawości wstrzymując niemal oddech. — Posłuchajcie, moi mili współpracownicy; „Worek plastikowy z nadpalonymi i niedopalonymi szczątkami kostnymi zawiera pozostałości po: jednej kurze, jednej świni. Jednym baranie. Dwa większe fragmenty są niewątpliwie giczami wołowymi. Mógł być też jeden pies. Duży, chyba wilk. przejechany przez samochód. Budowa tkanki kostnej, m.in. brak kanałów Haversa wyklucza możliwość, aby to były szczątki ludzkie”.

W gabinecie zapanowała grobowa cisza, a Kwaśniakowi się wydało, że ziemia się pod nim zapada.

— Ale, nas szczeniak wpuścił w maliny odezwał się Rokitnicki, który jako człowiek trzeźwy nie ulegał emocjom.

— Dawać go tu! — huknął major i złapał za słuchawkę, żeby powiadomić prokuratora Michalskiego o niezwykłym obrocie rzeczy. Już sobie wyobrażał, jak będzie się z niego natrzasać cała prokuratura uprawiająca cichą rywalizację z milicją.

Zenek Sikora miał minę obojętną i niewzruszoną. Major podsunął mu pod nos ekspertyzę, podczas kiedy Kwaśniak mierzył go spojrzeniem pełnym wyrzutu.

— Co to znaczy? — zapytał major głosem nic wróżącym nic dobrego.

— To? — Sikora wskazał palcem na ekspertyzę. Najwidoczniej grał na zwłokę.

— To, to!

Zenek uśmiechnął się szelmowsko, czym zdenerwował nawet Kwaśniaka.

— Kawał wam zrobiłem. Na to paragrafu nie ma.

— O, jest. Utrudnianie śledztwa, wprowadzanie milicji w błąd. Skąd tyle tego nabrałeś? — pieklił się major.

— A ze dwa tygodnie po mieście zbierałem. Po knajpach i w rzeźni nawet. Mówiłem, że to dla mojego psa.

— Czy ty zdajesz sobie sprawę. Sikora, że pozostajesz pod zarzutem zamordowania człowieka? A ciebie psie figle się trzymają.

— Wiem — odpowiedział spokojnie, już bez uśmiechu.

— Więc gdzie są zwłoki Nowaka? Co z nimi zrobiłeś? — Rokitnicki stawiał sprawę dobitnie. — Zabiłeś czy nie?

— Tak. Zabiłem — odpad Zenek bez cienia skruchy, raczej z zawziętą złością.

— I gdzie podziałeś trupa? Mów, już bez kawałów.

— A to go sobie poszukujcie — usłyszeli arogancką odpowiedź.

— Nie bój się, znajdziemy — odgrażał się major. — Nie takim jak ty dawaliśmy radę.

Kiedy wyprowadzono Zenka, major zwrócił się do Kwaśniaka:

— Słuchajcie, Kwaśniak, Nie podoba mi się to wszystko.

— Co, majorze? — głos Kwaśniaka nie brzmiał zbyt pewnie.

— Cały przebieg śledztwa. Co z tego, że Sikora się przyznaje? Jak widzimy, to nic nie znaczy. Tu musi tkwić jakiś błąd. Poszliście jednym tropem. Daliście się zasugerować plotkom i przyczepiliście się do tego Sikory. Czy nie przeoczyliście jakiegoś innego śladu, przyznajcie się. Czy dokładnie przetrząsnęliście willę na Mickiewicza? Protokół rewizji jest bardzo skąpy.

Kwaśniak, skruszony, spuścił głowę. Jak mógłby się przyznać majorowi, że zawróciła mu w głowie Jolka. No, zgłupiał wtedy i już. Jeszcze dziś naprawi to niedopatrzenie. Właśnie miał zamiar to uczynić, gdy zadzwonił telefon.

Niechętnie podniósł słuchawkę. Odezwał się w niej kobiecy głos, który wydał mu się znajomy.

— Mówi Korolewiczowa. Sekretarka dyrektora Nowaka z muzeum. Czy to pan porucznik Kwaśniak? Przyjechali panowie z Warszawy. Inspekcja. Chcieliby z panem mówić.

— Rychło w czas — mruknął Kwaśniak. — Już trzy razy monitowaliśmy, żeby zjawił się ktoś kompetentny.

— Tu inspektor Kąciak — tubalny głos w słuchawce wydawał się nieco zdenerwowany..— Chcieliśmy z panem porozmawiać. Ale jeśli mogę prosić. lepiej by było. gdyby pan porucznik do nas był łaskaw... Tak, do muzeum. Czekamy.

Właścicielem tubalnego głosu okazał się niziutki, grubawy człowieczek o wyglądzie skrzata. Tłumaczył się gęsto z opieszałości: pan porucznik rozumie, urlopy, za mało ludzi, zwłaszcza kompetentnych, no i powariowali z tymi wyjazdami za granicę — w Nubii kopia, w Libii kopia, i gdzie tylko, nawet w Anglii, jakby tu nic było nic do roboty. Archeologa nie uświadczy się w Warszawie na lekarstwo. Ani numizmatyka. A tu właśnie dużo takich eksponatów, na których tylko tacy iię wyznają. On sam z histerią sztuki nigdy nic wspólnego nie miał. Prezesem spółdzielni obuwniczej był, ale kuzyn go namówił na tę posadę w ministerstwie.

Na drzwiach muzeum widniała duża wywieszka: „Zamknięte do odwołania”, a w środku, wśród rozgardiaszu pootwieranych gablot i powystawianych na stoły eksponatów, krzątała się gorączkowo ekipa, składająca stę z głównego księgowego Szymczaka, kustosza Aniołkiewieza i przybysza z Warszawy. Stanowił przeciwieństwo inspektora Kąciaka— był wysoki i chudy, nieco przygarbiony i miał surową twarz o wydatnych rysach i ostrym spojrzeniu Wielkiego Inkwizytora. Przedstawił się jako rzeczoznawca i prawdopodobnie rzeczywiście znał swój fach, wnosząc z wymiany zdań z kustoszem Aniołkiewiczem.

— No, tu nie będziemy rozmawiać — orzekł Kwaśniak. — Chodźmy najlepiej do gabinetu dyrektora.

Felicja Korolewicz znała swoje obowiązki i zdążyła w ciągu długich lat praktyki przyswoić sobie właściwe odruchy. Jak konferencja w gabinecie, to znaczy kawa. Nawet jeżeli zamiast dyrektora zasiada w jego fotelu „ten w niebieskim mundurze”. Gdy więc porozstawiała reprezentacyjne filizanki w różyczki z parującym czarnym płynem, a do tego podała herbatniczki na kryształowym talerzyku i wyszła, zamykając za sobą starannie obite dermą drzwi, panowie przystąpili do rzeczy.

— Czy macie już jakieś ustalenia w sprawie zaginięcia naszego pracownika Kazimierza Nowaka? — inspektor Kąciak uważał, że jemu należy się inicjatywa w rozmowie.

Kwaśniak odpowiedział chłodno i powściągliwie, dając do zrozumienia, że to nic ministerstwo, gdzie pan Kąciak może się puszyć jako kuzyn wieeministra.

— Z pewnością sprawa byłaby już dawno wyjaśniona, gdyby Zarząd Muzeów i muzeum przyszły nam z pomocą we właściwym czasie. Na przykład dane dotyczące podróży pana Nowaka musiałem długi czas wymuszać na panu księgowym.

— Obowiązywała mnie tajemnica służbowa. I dyrektor zakazał udzielania komukolwiek informacji — tłumaczył się z grobową miną księgowy Szymczak.

Kwaśniak nie zwrócił uwagi na to usprawiedliwienie i ciągnął dalej:

— Najprawdopodobniej dyrektor Nowak został zamordowany. Przyznał się do zabójstwa pewien miody człowiek, jego znajomy, twierdząc, że to były porachunki osobiste. Aresztowaliśmy go. Ale on coś kręci. Nie jest to sprawa jasna.

Ta rewelacja Kwaśniaka zrobiła na obecnych duże wrażenie. Kąciak ocierał pot z czoła, Aniołkiewicz westchnął głęboko, Szymczak zbladł i nerwowo zamrugał oczami.

Tylko ekspert z Zarządu Muzeów został nieporuszony. Z ponurym wyrazem surowej twarzy stuknął długopisem w plik arkuszy leżących przed nim na stole. Drewnianym głosem, nie wyrażającym żadnych uczuć, oświadczył:

— Nie wypowiadam się na temat morderstwa w afekcie czy jego sprawcy. Dla ranie istotne jest co innego. Jesteśmy dopiero w połowie inwentaryzacji, a już wiemy, że muzeum zostało dosłownie ograbione z bardzo cennych eksponatów. Brak dwudziestu dwóch miniatur na kości słoniowej, dwudziestu pięciu sztuk zabytkowej broni białej i inkrustowanych pistoletów, dwunastu sztychów angielskich, pięciu płócien holenderskich, wprawdzie niedużych, ale wartościowych, całej kolekcji monet, tak zwanych pierwszych z różnych krajów w liczbie sześćdziesięciu i tak dalej. Straty idą w miliony. Jeszcześmy wszystkiego nic ujęli.

— Kiedy to wszystko poginęło? — Kwaśniak poczuł, że otwiera się przed nim jakaś nowa furтка, ale droga za nią może okazać się równie wyboista i kręta, jak ta, którą szedł dotychczas.

— Trudno stwierdzić — odezwał się nieśmiało Aniolkiewicz, najwidoczniej bał się, żeby na niego nie padł cień podejrzenia. — Ja tu pracuję od roku i niektórych eksponatów już nie było. W ogóle pan dyrektor rządził się tu po swojemu. Stale coś przestawiał i przewieszał, tak, że nie można się było nawet zorientować, gdzie co jest, i czy w ogóle jeszcze jest. Czasami zabierał coś ze sobą do domu, żeby oczyścić, odrestaurować, doprowadzić do porządku. Bo my tu nie mieliśmy pracowni konserwatorskiej, a dyrektor miał własny warsztat, jak mówił. Chociaż ja go nigdy nie widziałem.

— No, a jakaś inwentaryzacja? Chyba bywała?

— Phi — padła lekceważąca odpowiedź. — Za moich czasów nie było żadnej, choć się upominałem. Ze dwa lata już nie było. Dyrektor mówiła że papierki nieważne, tylko rzeczy, i on ma ważniejsze sprawy na głowie.

— Jakie na przykład? — spytał od niechcienia Kwaśniak.

— Ostatnio zajmował się złotym dukatem.

Na Kwaśniaku ta wiadomość nie zrobiła większego wrażenia. Włócząc się po muzeum bardziej przejmował się obrazami i starą bronią niż monetami, ale rzeczoznawca Anastazy Borejko poruszył się niespokojnie po raz pierwszy podczas tej rozmowy. Inspektor Kąciak pocierał z zaaferowaniem niskie czoło, jak gdyby usiłował sobie coś przypomnieć.

— Złoty dukat... hm... złoty dukat... Borejko spojrzał na niego z góry z lekceważeniem i dezaprobatą:

— Pan inspektor powinien pamiętać. Dwa miesiące temu Nowak pisał do nas o zezwolenie na zakup...

— A tak, tak — tu inspektor zwrócił się do Kwaśniaka — widzi pan, poruczniku, muzeum ma prawo zakupywać eksponaty, oczywiście po ekspertyzie i komisyjnie, za niewielkie sumy, w ramach swoich możliwości budżetowych. Większe zakupy my musimy akceptować albo Muzeum

Narodowe finansuje i bierze to dla siebie. A tu chodziło...

Borejko z poczuciem wyższości przerwał inspektorowi, jakby się obawiał, że ten znów strzeli jakieś głupstwo:

— Chodziło o monetę stu dukatową Zygmunta III Wazy. Trzysta pięćdziesiąt gram. gładki otok, na a wersie portret króla, na rewersie herby Polski, Szwecji, Litwy i snopek, herb rodowy Wazów. Takich studiatówek jest na świecie, bo ja wiem, może kilkanaście. Oferent, którego nazwiska nam Nowak nie podał,

żądał pięciu milionów złotych. Władze nie chciały się zgodzić na taki wydatek. Napisaliśmy do Nowaka, żeby pertraktował o niższą cenę. Ale on już nie odpowiedział.

— A jaka jest cena światowa takiej monety?

— Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Mniej więcej.

Następnego dnia Zawada przywiózł z Opola Anatola Kobzę. Kobza ciskał się i protestował:

— Za co? Jakim prawem? Co ja mam z tym wspólnego? Że mu czasami to i owo do muzeum podrzuciłem? Dla dobra publicznego... Żeby cenne zabytki nie przepadły!

Gdy wyjaśniono mu, że może być jednak zamieszany w sprawę o morderstwo, spuścił z tonu.

— Panowie mówicie, paserstwo. Nie byłem żadnym paserem. Od niego nic nie kupowałem. Prywatne pośrednictwo, to już prędej. Mało to ludzi pozbywa się różnych pamiątek rodzinnych, kiedy pieniędzy potrzebują? Wiedzieli, że ja uczciwe ceny daję, że eksperta mam. A w desie trzeba miesiącami czekać aż wezmą, sprzedadzą i jeszcze dwadzieścia procent biorą.

— Kto był tym ekspertem?

— A takt sąsiad Nowaków, Tadeusz Kwiatkowski. On teraz na emeryturze, ale w Izbie Skarbowej kiedyś pracował i był ich urzędowym rzeczoznawcą. Przywoziłem towar, on oceniał. Rzadko się mylił. Oczywiście płaciliśmy mu za to. Tanio było i dyskretnie, a on jeszcze się cieszył, że na ładne rzeczy może popatrzeć.

— No dobrze — tym razem major Rudzki grał w przesłuchaniu pierwsze skrzypce. — A co działo się z rzeczami, klórc Nowak od pana brał i klórc nic trafiły do muzeum? I co z tymi, które stanowiły już własność muzeum i znikły? Pan tak dobrze jest wtajemniczony w sprawę Nowaka, to może pan nam powie.

Kobza dał za wygraną. Żeby siebie odciążyć, zdecydował się sypać współlnika.

— Co robił? Na początku sprzedawał w desie przez podstawionych ludzi albo prywatnie, jak kto miał pieniądze. Ale potem stwierdził, że mu się to nic opłaci i zaczął za granice wypychać. Nie osobiście, jasne. Miał takiego, co mu woził.

— Kto to był?

— Taki konduktor z „Warsu”. Dom sobie budował, to chciał zarobić.

— A jaka była wasza ostatnia transakcja? Kobza niespokojnie pokręcił się na krześle i bąknął:

— Nie pamiętam.

— Może złota studukutówka?

To nagle pytanie majora jakby ścięło z nóg Kobzę. Załamał się.

— Kupiłem okazyjnie. Jacyś cwaniacy na Festiwalu Opolskim podkradli pijanemu cudzoziemcowi. Ale co mnie obchodziło, skąd to wzięli. Dowiedziałem się o tym później, przypadkowo. Cudzoziemiec mel-dunku nawet nie składał, też widocznie zdobył to na lewo. Tanio mi sprzedali.

— Za ile?

— Nie pamiętam dokładnie. Zdaje się, że sto tysięcy złotych im dałem.

— Od muzeum żądał pan pięć milionów.

— To nie ja. To Nowak. Ale jak Kwiatkowski powiedział, co to jest i ile warte, to Nowak zdecydował, że wypchnie do Wiednia.

— No i wypchnął?

— Nie wiem.

— I po ten dukat przyjechał do pana do Opola dwudziestego trzeciego czerwca?

— Tak. Zabrał i zaraz wyjechał z powrotem. Spieszył się bardzo. Ten co miał to przewieźć, Antosik, Łukasik, czy jak mu tam. właśnie jechał do Wiednia na urlop.

Ekipa, która pojawiła się na działce Kazimierza Nowaka, wzbudziła oczywiście sensację. Uczni sąsiedzi zgromadzili się dookoła i nic pomagały nawoływania, by się rozeszli, gdyż przeszkadzają w czynnościach urzędowych. Oprócz prowadzących dochodzenie, uczestniczyli w wizji lokalnej: inspektor Kąciak, rzeczoznawca Anastazy Borejko, podejrzany Zenon Sikora, zatrzymany do wyjaśnienia Anatol Kobza i Nowakowa. Kwaśniak był przeciwny wzywaniu Jolki, gdyż od początku uznał, że jej rola w całej sprawie jest trzeciorzędna, ale major nastawał, ciekaw był reakcji obojga młodych nie podczas oficjalnej konfrontacji w komendzie, lecz na terenie neutralnym. Jolka, z początku załębiona i zmieszana tak licznym towarzystwem, na widok Zenka rozpromieniła się. Sądziła, że jest on już na wolności i niewiele brakowało, żeby rzuciła mu się na szyję. Powstrzymał ją Kwaśniak wskazując na kajdanki na przegubach Zenka. Wtedy rozplakała się. Tusz rozmazał się jej po policzkach i głośno siąkała w chustkę, którą jej Kwaśniak zaofiarował z własnej kieszeni. Zenek raz tylko spojrział w jej stronę, jakby z wyrzutem. Zachowywał się tak jak ostatnio w czasie przesłuchań — z arogancką bezczelnością i zimną krwią. Zupełnie, jak gdyby uczestniczył w spektaklu w roli statysty.

Panowie obejrzeni sobie jeszcze raz grzędę, która dostarczyła tyle uciechy lekarzom z Instytutu Kryminalistyki, dokładnie spenetrowali jeszcze raz całą działkę na wypadek, gdyby zachowały się gdzieś podejrzane ślady, po czym przystąpili do właściwej czynności: oględzin domku i ukrytej w nim pracowni Kazimierza Nowaka.

Do piwniczki zeszła tylko ekipa milicyjna zabrawszy ze sobą Sikorę, Kobzę i eksperta Borejkę.

— Tak... — mruknął Borejko rozejrzawszy się po stole i półkach — niezłe wyposażone małe laboratorium konserwatorskie. Dużo tu zdziałać nic można, ale drobne przedmioty można poddawać renowacji...

Kobza zrobił się bardzo gorliwy, gołów do służenia władzy wszelkimi informacjami. Zauważył, że kiedy był tu ostatnio, przed zniknięciem Nowaka, stół stał gdzie indziej, bardziej na środku, pod samą lampą, żeby światło padało prosto na blat. Było v. tedy jeszcze miejsce między stołem i ścianą, tam właśnie postawił Nowak dwa obrazy, które Kobza mu przywiózł. Miały być ze szkoły Rubensa, ale Kwiatkowski, którego wtedy zawołali, stwierdził, że to falsyfikaty.

Wezwano wobec tego Tadeusza Kwiatkowskiego, który do tej pory obojętnie krzątał się na swojej działce, aby potwierdził ten fakt. Siwy pan niechętnie schodził stromymi, drewnianymi schodami, utykał na jedną nogę. narzekał, że to wojenna pamiątka. Był wyraźnie zażenowany. No bo opinia, znajomi... Co innego prawie grzecznościowo udzielać fachowych porad zaprzyjaźnionemu sąsiadowi, a co innego uczestni-

czyć w jakimś dochodzeniu z udziałem milicji w sprawie morderstwa! W dodatku okazało się, że z rzeczoznawcą

Borejko znają się z dawnych lat i gdyby nie okoliczności, panowie mieliby co powspominać.

— Tak — oświadczył Kwiatkowski. — Ten stół stał na środku pomieszczenia, a nie pod ścianą.

— Ja tam nic nie wiem — rzekł hardo Zenek. — Prawie nigdy tu nie wchodziłem. Załatwiałem sprawy tylko na mieście.

Kwaśniak przypomniał sobie, jak poprzednim razem Zenek od niechcienia stukał czubkiem buta w wystającą nieco cegłę, co porucznika denerwowało. Otóż ta właśnie i jeszcze jedna cegła, równoległe, lecz trochę dalej ułożona, również, wystająca ponad poziom podłogi, służyły najwyraźniej dla podparcia nóg stołu, żeby się nie kiwał albo nie przesuwiał podczas pracy wymagającej wielkiej precyzji.

Odepchnięto stół od ściany. Nawet nie był taki ciężki, jak się spodziewano. Bok, imitujący masywny blat, okazał się zamaskowaną, dużą szufladą, w której przy okazji odnaleziono owe rzekome Rubensy, dostarczone przez Kobzę. Za to interesująca okazała się podłoga, którą przykrywał stół w miejscu pod ścianą. Ceglany pył i okruchy, zaprawa między cegłami, wyraźnie różniąca się od reszty podłogi, dowodziły, że nie tak dawno cegły były usuwane i na powrót ułożone, nawet niezbyt starannie, jakby w pośpiechu.

Gdy je usunięto na bok, ukazała się spulchniona ziemia, przemieszana z odłamkami cegły.

W niej, na głębokości około półtora metra, leżały ludzkie zwłoki.

Po piwnicy rozszedł się nieznośny zaduch gnijącego ciała. Był to mężczyzna ze zmiażdżoną czaszką i zniekształconą twarzą. Powiało grozą.

— Ale dostał! — mruknął cicho Rokitnicki. Wprawdzie milicja nie takie szczątki widuje, ofiary ludzkiego okrucieństwa, ale ten widok był wstrząsający.

Teraz pierwszy zareagował Sikora. Zwyczajnie, bez zgrywy. Zbladł i cały trząsł się. Wykrzyknął z rozpaczą:

— To nie ja! Przysięgam, to nie ja go zabiłem! Nic o tym trupie nie wiem.

— Wiesz czy nie wiesz, to się jeszcze okaże. Mówiłem ci, synku, że jak jest trup, to go znajdziemy — odparł z drwiącą wymówką major i kazał Rokitnickiemu wezwać ekipę techniczną.

Gdy technicy wykonali wszystkie swoje czynności i zwłoki umieszczono na noszach, aby je przenieść do karetki, jeden z pracowników przyniósł jeszcze jakieś rzeczy zawinięte w folię.

— Co to jest? — spytał major.

— To leżało obok zwłok, jakby ktoś rzucił w ostatniej chwili. I dowód osobisty Kazimierza Nowaka.

Major ostrożnie rozwinął opakowanie. Oczom zebranych ukazała się zbutwiała już nieco marynarka i zielona prostokątna okładka. — To marynarka Nowaka! — zawołał Kobza. — Poznaję ją.

— Zanotujcie, Kwaśniak — powiedział major Rudzki i włożywszy gumowe rękawiczki przeszukał kieszenie. Przy tym ruchu coś wypadło z wewnętrznej kieszeni i potoczyło się po ścieżce pod nogi zebranych.

Była to duża złota moneta.

Rozdział 8

— To nie on! — zawołała Jolanta, gdy w prosektorium uchylono białe prześcieradło, pokazując jej zwłoki odkopane w piwnicy, oczyszczone już od zakrzepłej krwi i błota. Pozwoliła wyprowadzić się Kwaśniakowi. Dygotała i słała się na nogach. Ulotniły się gdzieś bez śladu jej minki i gierki, frywolne uśmieški i zalotne spojrzenia. Tak jakby teraz dopiero dotarła do niej ponura groza sprawy, która rozgrywała się wokół niej.

Trzeba ją było odwiedzić do domu i wezwać lekarza, żeby dał jej coś na uspokojenie. W krytycznym momencie okazało się, że dziewczyna nie ma właściwie nikogo, kto by się nią mógł zająć. Nie kwapili się ani przyjaciele, ani sąsiedzi, żeby jej pomóc. Nikt nie chciał być zamieszany w tę dziwną, kryminalną aferę i każdy miał do niej o coś pretensje.

— A niech pije sobie teraz piwo, które nawarzyła — brzmiała ogólna opinia.

Po odjeździe lekarza, czekając na pielęgniarkę, która miała zrobić Jolce zastrzyk, Kwaśniak krążył jeszcze jakiś czas po mieszkaniu. Coś go dziwnie niepokoiło. Jakby czegoś zapomniał zrobić, czegoś zaniedbał. Czuł się jak ktoś, kto w pociągu dopiero uświadamia sobie, że nic wyłączył w domu żelazka. Mieszkanie sprawiało zresztą teraz wrażenie wyjątkowo nie przytulne. Pan mecenas Chrzanowski skwapliwie pozabierał zapisane mu w testamencie przez Kazimierza Nowaka przedmioty, a muzeum odzyskało swoją własność: całą czeredę świątków, które tak denerwowały Jolkę, a które Nowak, rzekomo z braku miejsca w muzealnych salach, trzymał u siebie w domu. Również kilka obrazów, zdobiących ściany willi przy ulicy Mickiewicza, okazało się eksponatami brakującymi w spisie inwentarskim muzeum. Książki odkupił od Jolki Aniołkiewicz, czemu była ogromnie łada i nie stawiała wygórowanych żądań finansowych. W ogóle wyglądało w mieszkaniu tak, jak gdyby z niego się wyprowadzano, Kwaśniak zapytał wprost o to Jolkę.

— Czy ma pani zamiar opuścić ten dom? Zawahała się.

— No, na razie nie. Ale w zasadzie tak. Na co mi taka wielka chałupa. Ile tu sprzątan... Gdyby Zenka wypuścili, to chcemy sprzedać tę chatę i wyjechać. Brat jego matki, wuj znaczy się, już dawno go do siebie do Niemiec zaprasza. Ma tam interes, masarnię, pomocnik mu potrzebny. — Wybuchnęła nagłym płaczem. — Ja tu się wścieknę! Wytrzymać nie mogę sama wieczorami. Albo w nocy. Ciągłe mi się zdaje, że ktoś po domu łązi albo koło domu. Albo po tym przeklętym strychu. Pewnie myszy hałasują, ale może duchy? Już dziś w ogóle oka nie zmruję,

Chlipała w poduszkę, okryta przez Kwaśniaka kocem.

I w tej chwili porucznik klepnął się dłonią w czoło. Miał ochotę wymyślać sobie od najgorszych niedołągów. Już wiedział, co go w tym domu gnębiło niepokojem i nieokreślonym niezadowoleniem z siebie. Strych! Ależ tak! Zaniechał oględzin na strychu, kiedy był tu po raz pierwszy! Dostanie mu się od majora na pewno. Przypomniał sobie jego reprimendę i zarzuty dotyczące niedbale przeprowadzonej rewizji.

Ale major był w dobrym humorze. Właśnie telefonował do niego osobiście minister Kultury i Sztuki, dziękując za odzyskanie tak cennego zabytku, jakim jest studukatówka Zygmunta III Wazy. Wprawdzie

przywędrowała ona do nas krętymi drogami, została bowiem kilka lat temu skradziona w jednym z zachodnioeuropejskich muzeów, ale odnalezienie jej stwarza zawsze jakąś dogodną platformę wzajemnych pertraktacji z poszkodowaną instytucją. Niewątpliwie także ekipę dochodzeniową, która przyczyniła się do tego sukcesu, nic ominię pochwała i wyróżnienie.

Tak usatysfakcjonowany major Rudzki dość łagodnie potraktował zaniedbanie służbowe Kwaśniaka i kazał mu natychmiast zrewidować cały dom Nowaków, ale tym razem od piwnicy do strychu.

— Weź Rokitnickiego i jeszcze tego pasera z Opolą. Bardzo pali się by nam dogadzać. Może się przyda.

Drzwi na strych zabezpieczone były potężną sztabą zamykaną na równie okazałą kłódkę. Jolka kluczy od strychu nie miała, nosił je zawsze przy sobie Nowak, ale sforsowanie tej przeszkody nie nastąpiło milicjantom zbyt wiele trudności. Gdy weszli, uderzyło w nich zatechłe powietrze dawno nie wietrzonego pomieszczenia, w którym, jak się naprawdę okazało, w najlepsze gospodarują suda myszy. Był to typowy strych, na którym trzyma się tak zwane rupiecie. Przepalony abażur i lampy, fotele z połamanymi nogami, kanapa z poprutym siedzeniem, z którego wylały się kłakami w!—:;;, kulawe foteliki ogrodowe, stolik nadgryziony przez komiki, kilka bardzo zniszczonych obrazów niewielkiej wartości, podarte książki, kosz pełen znoszonych ubrań — pastwisko moli Przez zakurzone i zasnutę", pajęczyną szybki dwóch małych okienek niewiele przenikało tu światła. Widocznie dyrektor Nowak, słynny pedant, niezbyt często korzystał z tego zakamarka swojej wytwornej willi i nie dbał tu o porządek. Niby nielogiczne, ale to się zdarza. Człowiek — nieposzlakowanej opinii, też miewa ciemne zakamarki w swoim życiu ukryte przed otoczeniem.

— No i na co mu to wszystko? — wydziwiał Rokitnicki grzebiąc się w koszu z łachmanami i opędzając się od natrętnych moli

— A, bo on taki był, chytrus — wyjaśnił Kobza oglądając z zainteresowaniem popstrzone przez muchy płótna. — Może dałoby się to jednak oczyścić i sprzedać? On by kawałka tasiemki nie wyrzucił ani guzika. Bo wszystko może się jeszcze do czegoś przydać. Mówiłem mu nieraz żartem, że jest śmieciarz.

Nagle umilkł i wbił wzrok w coś, co Rokitnicki wydobyl z dna kosza. Były to szare, poplamione męskie spodnie.

— Co... co to? — wykrztusił Kobza.

— To zakrzepła krew — odpowiedział spokojnie Rokitnicki.

— To... spodnie Nowaka. Od tej marynarki znalezionej w dole na działce. Był w tym ubrania u mnie w Opolu wtedy, dwudziestego trzeciego czerwca, kiedy przyjechał po dukat — wyjąkał głuchym głosem Kobza. — Nic z tego nic rozumiem...

Kwaśniak milczał ponuro. Gdyby wtedy, na początku, zrewidował strych, zamiast dać się uwodzić Jolce, może śledztwo i dochodzenie potoczyłyby się szybciej i inną drogą. Klął siebie i swoje niedbalstwo. Zajrzał na dno kosza, ale niczego już w nim nie było. Za to w kanapie, wśród poplątanych i połamanych sprężyn i kłębów włosia, tkwiła długa paczka zawinięta w gazety. Włożywszy rękawiczki Rokitnicki ostrożnie odwiął znaleziony przedmiot. Trzy głowy pochylały się w milczeniu nad zakrwawioną siekierą.

— Więc to był Wawrzyniec Łukasik... — mamrotał Kwaśniak w otepieniu, jakby sam do siebie, chociaż cała ekipa siedziała przy długim stole na odprawie u majora Rudzkiego.

— No. tak, tak — zniecierpliwiał się major. — Nic ulega wątpliwości. Łukasikowie rozpoznali zwłoki. I jego matka. Ale dlaczego był w cywilnym ubraniu, a nie w mundurze?

Rokitnicki skwapliwie wyjaśnił sprawę. lubił chełpić się swą zawodową sprawnością:

— Rozmawiałem o tym w „Warsie”. Oni noszą mundury tylko na służbie. A już na urlop z reguły jadą w cywilnym ubraniu. Mniej krępujące. A swoją drogą, bałagan w tym „Warsie”. Pracownik nie wraca w porę z urlopu z zagranicy, a oni nic. Nie raczą się nawet odezwać. Tłumaczą się okresem urlopowym. Jeden nie wiedział, drugi nie powiedział, trzeci nic odnotował i w ogóle nie sposób zorientować się w tym czasie, czy ktoś do cioci do Wołomina pojechał, na wczasy do Krynicy, czy walutę ciuła w jakimś RFN—ie. Jemu, Łukasikowi, właśnie urlop wypadł.

— Więc co robimy z Sikorą? — zastanawiał się kapitan Winiarz z Wydziału Kryminalnego Komendy Głównej. Właściwie od niedawna włączył się czynnie do śledztwa i znał sprawę bardziej z akt niż z autopsji. — Oskarżamy go o dwa morderstwa? Poza tym jest do wyjaśnienia sprawa, gdzie podziały się dokumenty Łukasika. Nie znaleźliśmy ich przy nim.

Dwa morderstwa? Nie, tego Kwaśniak nie mógł sobie wyobrazić, nawet biorąc pod uwagę zadziorność Zenka i kawał, jaki zrobił milicji. Po odkryciu zwłok w piwnicy Sikora całkiem się rozkleił. Gadał coś sam do siebie, ale zeznawać nic nie chciał. Tylko do mecenasa Chrzanowskiego powiedział zagadkowo, że go „wpuszczono w maliny”, a teraz on odpowiada.

Kwaśniak zaczął więc gorąco bronić Zenka, gdy drzwi gabinetu otworzyły się i wszedł dyżurny oficer. Położył przed majorem zalakowaną kopertę.

— No — ożywił się major. — Mamy tu wyniki badań tego znaleziska ze strychu na Mickiewicza, spodni i siekiery.

Na chwilę przerwał i zagłębił się w studiowanie ekspertyz. Obecni czekali w skupieniu. Kwaśniak najlepiej może zdawał sobie sprawę, ile od tej ekspertyzy zależy. Odetchnął głęboko, gdy dotarły do niego słowa majora:

— Zarówno krew na spodniach, jak i na siekierze wykazuje zbieżność z grupą krwi Łukasika. Na stylisku i ostrzu siekiery daktyloskopowie wykryli odciski zakrwawionych palców Nowaka, identyczne z próbkami, pobranymi w mieszkaniu i w muzeum z przedmiotów, z którymi tylko Nowak się stykał.

W gabinecie po męczącej ciszy rozległ się ożywiony gwar. Funkcjonariusze wymieniali między sobą uwagi, dyskutowali, ktoś dowodził donośnie, że od początku to przewidywał. Zawsze się taki przemądrzalec znajdzie.

— Proszę o spokój, koledzy przywołał ich do porządku major. — Jeśli ktoś sądzi, że to nam rozwiązuje sprawę, to jest w błędzie. Te dane wyjaśniają nam tylko fragment sprawy. Zreasumujmy więc wszystkie fakty.

Rokitnicki chciał się popisać. Głównie przed kapitanem z Komendy Głównej, bo miałby ochotę przenieść się do Warszawy.

— Faktem jest, że Nowak zabił Łukasika zwabiwszy go do swojej pracowni pod pretekstem że ma przesyłkę do Wiednia. Może Łukasik go szantażował, może żądał zbyt wielkiej zapłaty i groził, że go wyda albo Nowak podejrzewał, że tym razem Łukasik nawali, przywłaszczy sobie ten dukat i nic od da, gdzie miał oddać... Jak Łukasik zobaczył, co ma przewieźć, to stanął dęba. Taki kawał złota!

— No, a co się stało z Nowakiem? Skąd się wzięła jego marynarka przy zwłokach Łukasika, nadziana właśnie „takim kawałem złota”? I jego dowód osobisty — major był wyraźnie nierad pochopności swego podwładnego.

— Przecież Sikora się przyznał. Może znajdziemy jeszcze i Nowaka w najbardziej niespodziewanym miejscu. Trzeba tylko dobrze poszukać. Nie robić rewizji na łapu—capu, byle jak. — Ta uszczypliwa uwaga Rokitnickiego była wyraźnie adresowana do Jasia Kwaśniaka.

— No tak dodał kapitan Winiarz, — Mało tu macie placów budowy na obrzeżu miasta? Mógł zabójca zwłoki Nowaka choćby w jakimś zbiorniku z wapnem utopić. Sikora to młody, silny, wysportowany chłopak. Podwiózł ciało tą swoją jawą i koniec.

Rokitnicki wyraźnie brał górę, choć wyczuł i niezadowolenie majora:

— Rozebrał Nowaka, marynarkę wrzucił do dołu, bo było na niej za dużo krwi. Dowód też. Siekiere zawinał w spodnie i schował na strychu, od którego klucze znalazł przy Nowaku. W ten sposób, jak znajdziemy trupa, to w ogóle nic dojdziemy, kto to jest. Tak jak kapitan Winiarz mówi, w jakimś wykopie na budowie... O dukacie Sikora nic nie wiedział. No bo wyjąłby go. Jak ten dukat na ścieżce zobaczył, o mało mu oczy ze zdumienia nie wyskoczyły!

— Właśnie — przerwał Kwaśniak, prosząc majora o głos. — O dukacie nie wiedział, ale i o trupie w piwnicy też nie wiedział. To było po nim widać, jeżeli się go obserwowało w piwnicy, kiedy odkopaliśmy zwłoki Łukasika. I myślał w dodatku, że to trup Nowaka. Dukat... Jeden człowiek wiedział, co zamierza Nowak tej nocy. To Kobza. Taka fortuna wymykała mu się z ręki. Sikora przyznał się, to i co. Dziś u nas częściej morduje się dla pieniędzy, niż z miłości. Może Kobza obiecał chłopakowi jakąś większą sumę, jeżeli weźmie winę na siebie i namówił go na ten kawał z grzędą po porzeczkach. Kawał się wyjaśni. Sikorę wypuścimy, no bo trupa Nowaka faktycznie nie znaleźliśmy...

— Rokitnicki nie ma racji. To się kupy nie trzyma. Tu marynarka, tam spodnie... Kobza... — zastanawiał się major. — Faktycznie, za mało bierzemy go pod uwagę. Ale on przede wszystkim szukałby tej monety przy swojej ofierze. Założmy, że naumyślnie wrzucił marynarkę z dukatem do dołu ze zwłokami Łukasika, żeby nikt go nie znalazł, a on po pewnym czasie by go odkopał — to po co by nas naprowadzał na ślad? On przecież zwrócił uwagę na przesunięty stół i dzięki niemu znaleźliśmy ciało Łukasika. O Kwiatkowskim, sąsiedzie Nowaka, też nikt dotychczas nie pomyślał. Dużo wiedział, obserwował zza płotu, co się dzieje u Nowaków w domu i na działce, znał cenę monety. Niby narzeka na nogę, ale całkiem jeszcze czerstwy i silny z niego staruszek. Wcale bym się nic zdziwił, gdybyśmy znaleźli zwłoki Nowaka pod jego trawniczkiem z żółwiami...

— Moi drodzy — zawyrokował kapitan Winiarz. — Dochodzę do dziwnego wniosku. Albo wszyscy macie rację, albo wszyscy się mylicie. Jest jeszcze ktoś, kto mógłby uknuć całą tę zbrodnię.

Zaczął mówić, a zebrani, zaskoczeni, słuchali ze zdumieniem.

Włóczył się po Crinzingu bez celu, z zazdrością zerkając na tłum. przewalający się o popołudniowej porze uliczkami tej dzielnicy. Mijały go grupki ekstrawagancko ubranej, hałasującej młodzieży, gromady turystów z różnych stron świata, im zamożniejsze, tym bardziej swobodne i butne. Najmniej może było tu rdzennych wiedeńców. Liczne winiarnie, piwiarnie, kawiarenki i ogródki były przepełnione. Dobiegał z nich gwar, czasem chóralne śpiewy, skłócone dźwięki walców Straussa i nowoczesnego jazzu. Ale nikogo z tych ludzi, oddających się beztroskiej rozrywce, nie obchodził los niepozornego, biednie wyglądającego człowieka. Gdyby podszedł do kogokolwiek z nich i poprosił, aby ulitował się nad nim, głodnym spragnionym, i zafundował mu jedno piwo, spotkałby się ze zdumionym spojrzeniem, popartym wzruszeniem ramion. Kelner zaś wyrzuciłby go za drzwi, chociaż wiedeńscy słyną z uprzejmości. A on rzeczywiście nie miał już ani jednego feniga w kieszeni i nie wiedział, co ma ze sobą począć.

Szedł tak bezmyślnie przed siebie, aż zawędrował nad rzekę. Było tu ciszej i puściej, choć też nie brakowało spacerowiczów, zwłaszcza zakochanych par, obojętnie mijających skulonego na ławce włóczęgę. Dunaj toczył przed nim swoje głębokie, spokojne wody, odbijając coraz więcej kolorowych świateł, w miarę jak zapadał wieczór. Ta milcząca, błyskotliwa toń aż wabiła, żeby do niej skoczyć i zapomnieć o wszystkim, co mu się przydarzyło.

Nie był jednak smutny, nie trawiła go tęsknota za czymkolwiek, nie trapiły wyrzuty sumienia. Był raczej wściekły i rozgoryczony, pełen nienawiści do wszystkich, którzy go zawiedli. Przemyślał, czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby się jeszcze odegrać. Ale jak — i na kim?

Przede wszystkim winien był w jego pojęciu Zenek Sikora. Spłoszył go i przynaglił tym do fatalnego w skutkach pośpiechu. Zjawił się wcześniej, niż było umówione. A może to on sam zmarnotrawił ściśle wyliczony czas? Działał jak w transie. Sporo łajdactw popełnił w życiu, dużo ludzi oszukał, okradł, zmarnował im życie, ale nikogo jeszcze nie zabił osobiście. Myślał, że to proste — jak gdyby pionka przeciwnikowi z szachownicy sprzątnąć. Okazało się, że to nie tak. I kiedy tamten tak krzyknął po pierwszym ciosie siekiery, zadany mu od tyłu, gdy jako pierwszy zaczął schodzić do piwniczki i stoczył się po schodach na dół na podścieloną folię, żeby nie trzeba było potem zmywać za wiele śladów krwi — zabójca zdrętwiał i zastygł bez ruchu. Siekiera wymknęła mu się z ręki i spadła do piwnicy w ślad za zabitym. Przeraził się, że lada moment, zwabiony krzykiem, ktoś z nocujących na działkach albo przechodzący akurat aleją, wpadnie tu, aby się przekonać, co się dzieje. Szybko przekreślił kontakt i zgasił światło w górnym pokoju. Drzwi wejściowe zaryglował od wewnątrz. A tamten jeszcze żył i rzeził. Więc gdy nic nie naruszało ciszy dookoła, zszedł na dół i dobił go, zadając razy na oślep. Szybko wyjął dokumenty z kieszeni zabitego, aby nie nasiąkły krwią i odłożył na stół. Odsunął go od ściany odkrywając zamaskowany, już poprzedniej nocy wykopany, obszerny dół. Zsunął do niego trupa. Wrzucił tam również zakrwawioną folię. Gwałtownym ruchem sięgnął do swojej kieszeni i cisnął jeszcze do dołu własny dowód osobisty. Odnosił przy tym dziwne wrażenie — jak gdyby sobie samemu sprawiał pogrzeb. Zadrżał na tę myśl. Gdy wyjmował swój dowód z kieszeni, dostrzegł, że i jego marynarka nosi ślady krwi i skąd tyle krwi się bierze w momencie zabijania? Niewiele myśląc, zerwał z siebie z obrzydzeniem marynarkę i wrzucił ją również do dołu.

Nagle wydało mu się, że w piwnicy jest bardzo zimno. Cały dygotał. Wstrząsały nim dreszcze, ręce mu łatały. Na spodniach też zauważył plamy krwi. Narzucił na siebie prochowiec, który wisiał na gwoździu. Przecież nic będzie teraz zdejmować spodni. Każę się Zenkowi podwieźć po drodze do domu i zmienić tam całe ubranie. Na spalenie spodni nie będzie już miał pewno czasu. Ukryje je w swoim śmietniku na strychu, nikt tam nie łązi, mogą leżeć do Sądnego Dnia, aż zbutwieją. A swoją drogą przyłapał się na tym, że mózg jego nie pracuje tak sprawnie, jak zazwyczaj. Przemknęło mu przez myśl, że nie włożył rękawiczek, jakby to zrobił fachowy morderca. Ale cóż to ma za znaczenie — i lak pełno tu odcisków jego dłoni. Zanim rozsuplą tę zagadkę i będą chcieli go oskarżyć, on będzie już daleko. Bardzo daleko. Zaczął zakopywać — zwłoki, jeszcze nie oprzytomniawszy całkowicie po tym, co uczynił.

W tym momencie do drzwi domku ktoś zapukał w umówiony sposób. Sikora! Miał przyjść, ale później, kiedy będzie już po wszystkim, by w ostatniej chwili odebrać przeznaczone dla niego instrukcje i odwieźć swego zleceniodawcę na dworzec. Nie wątpił, że Sikora mimo wszystko jednak nabył tę wymarzoną jawę. No i tym lepiej. Ale miał się stawić w ostatniej chwili. Żeby mu nic nie mogło już strzelić do głowy. Wypaplać Jolce albo Michałowi, albo sprzeciwić się. Ostatnio Zenek miewał wyskoki, nagłe fochy, wygórowane żądania. Najwyższy czas rozstać się z nim.

Człowiek w piwnicy wpadł w panikę. O tym, co w niej się stało, Zenek nie może wiedzieć. Na tyle zaufania do chłopaka nie miał. No i może nie chciałby potem odegrać przeznaczonej mu roli. A w ogóle, co może czuć i myśleć człowiek, który przed chwilą popełnił morderstwo i zajęty jest właśnie gorączkowym ukrywaniem swojej zbrodni? Strach. Przede wszystkim strach chwytający za gardło. Myśli kołują jak szalone, jedna ściga drugą, gubią się i płaczą. Istna maligna. Wpadł w panikę. Rzucił się do drzwi, do których pukał Sikora. Jak dobrze, że zamknął je od wewnątrz na zasuwę.

— Kto tam? Ty, Zenek? — wykrztusił nie swoim głosem nie otwierając. Bo może to nie Zenek? Może ktoś do kogo dotarł rozpaczliwy krzyk mordowanego wśród głuchoj ciszy panującej na działkach? Mordowany krzyknął, zanim jeszcze stoczył się po stromych schodach, a letniskowy domek to nie dźwiękochłonny bunkier. Tego morderca nie przewidział, że zabijany może tak krzyżeć. Teraz dygotał ze strachu.

— Ja... ja. Umówiliśmy się przecież. Ledwo się wyrwałem z tych głupich imienin.

— Tak... tak... — odetchnął. — Dobrze, że jesteś. Ale ja tu jeszcze chwilę... Jeszcze nie skończyłem. Nie jestem gotowy. Ale to zaraz... Nie potrwa długo. Poczekaj w ogrodzie. — Brzmiało to jak gdyby się tłumaczył.

Czy Zenek wyczuł wtedy w tym chaosie słów zdenerwowanie? Jeżeli nawet, to był przyzwyczajony do dziwactw pryncypała.

— Dobra,.. — mruknął Sikora i położył się na ławce pod czereśnią. Po chwili zmorzył go sen. Wypita u Danki wódka i świeże nocne powietrze zrobiły swoje.

Człowiek za drzwiami odetchnął. Bał się, że chłopak zaofiaruje mu swą pomoc. Ale teraz musiał się bardzo spieszyć, bo czasu na przewidziane czynności nie miał już zbyt wiele. Za dwie godziny odchodzi pociąg, którym dotrze do Katowic, by tam przesiąść się do „Chopina”. Pochłonięty tą myślą zaczął mechanicznie niemal kończyć swoje dzieło. Dosypał ziemi, wyrównał dół, wylał zaprawę, ułożył cegły, przysunął stół pod ścianę maskując w ten sposób miejsce różniące się od reszty podłogi. Ślady krwi na ścianach i sprzętach starł mokrą ścierką, a gałgan wsadził do puszki z czerwoną olejną farbą.

Zabrał się z kolei do dokumentów zabitego. Przecież dla ich uzyskania zniszczył człowieka, do którego należały. Było tu wszystko, co potrzebne jest komuś, udającemu się na urlop do Wiednia w celu odwiedzenia narzeczonej. Paszport, karta urlopowa, książeczka walutowa, bilety — jeden do Katowic, drugi do Wiednia.— skromnie, druga klasa. Więcej osób, łatwiej stać się mniej dostrzegalnym. Dobrze, że do Wiednia wiza niepotrzebna. Co tu jest jeszcze? Aha, zwitek dolarów, trochę szylingów. Wsadził to wszystko do kieszeni płaszcza.

Szybko zgolił wasy i włożył przygotowaną peruczkę. Nie ma Nowaka. Umarł. Uważał to za świetny kawał. Zwariują, zanim się z tym wszystkim pozbiorają. Stał przed małym, wiszącym na ścianie lustrem i jeszcze raz wziął w rękę paszport, przyrównując swoje odbicie do twarzy, spoglądającej na niego z fotografii. Ujdzie. Własna twarz bez wąsów i w rudawej peruce przykrywającej łysinę, wydała mu się obca. To dziwne, ale odnosił wrażenie, że stał się podobny do tego na fotografii. Wprawdzie jest nieco młodszy,

ale zdjęcie nie należy do arcydzieł sztuki fotograficznej. Jak zwykle zdjęcia do dowodów i paszportowe. Komu przyjdzie do głowy porównywać szczegóły rysów. Powie najwyżej, że to stare zdjęcie...

Obejrzał się dookoła — czy czegoś nie zaniedbał? Wzrok jego padł na siekierę. Leżała na podłodze, tak, jak ją rzucił po zadaniu ostatniego morderczego ciosu. Zostać tak nic może, nie powinna. Byłoby źle, gdyby się przypadkiem znalazła za wcześnie. Żałował, że nie wrzucił jej do dołu razem z dowodem i marynarką. No trudno, stało się. Zawinał ją w gazety i mocno obwiązał — Zabierze ją do domu i razem ze spodniami schowa na strychu. „Tak, to byłoby już wszystko” — pomyślał z ulgą i wyszedł z domku, zamykając go na legą kłódkę.

Podróż minęła gładko, chociaż za każdym razem, gdy zjawiali się celnicy czy straż graniczne, doznawał lekkiego skurczu serca. Gdy odchodzili, udawał zaspanego i szybko zasłaniał się swoim prochowcem wiszącym na wieszaku. W rozmowy ze współpasażerami przezornie nie wdawał się.

Wysiadł na dworcu wiedeńskim zmęczony wszystkimi ostatnimi przeżyciami, lecz wydały mu się one błahostką w porównaniu z szokiem, którego doznał w umywalni dworcowej, do której wstąpił, by się odświeżyć po podróży. Korzystając z tego, że był sam w pomieszczeniu, sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki, by wyczuć pod palcami tak drogi jego sercu, twardy złoty krążek. W drodze nie śmiał tego robić, aby nie zwrócić czyjejs uwagi. Tu już można. Ale jego palce natrafiły na pustkę. Monety nic było.

Zmartwił. Jak to? Przecież do tej kieszeni ją wkładał u Kobzy w Opolu, zawiniętą w bibułę, żeby się nie wyslizgnęła. No tak, ale to nie była ta marynarka. Marynarkę z dukatem wrzucił, zdjęty wstrętem, do dołu w domku na działce, który stał się grobem Wawrzyńca Łukasika. I nie wyjął z niej swego skarbu. I leży sobie teraz ten złoty dukat obok człowieka, który oddał za niego życie, chociaż wcale o tym nie wiedział.

Nowakowi wydało się, że świat mu się zawalił. Oto prysły wszystkie nadzieje, które spełnić miał złoty krążek. Świetny interes, bogate życie w dalekich krajach. Pożyłby sobie jeszcze wesoło i dostatnio na stare lata. Wiedział dobrze, że to, co wiezie w podróźnej walizeczce, nie zaspokoi tych oczekiwań. Ani nie usatysfakcjonuje kontrahentów w Wiedniu. Pierwszą myślą było: wracać. Ale zląkł się. Samej tej myśli. I tej drogi powrotnej z graniczną kontrolą. A najbardziej chyba tego, co musiałby zrobić, aby odzyskać utracony przez własną omyłkę i zamroczenie umysłu, skarb. Musiałby iść na działkę, otworzyć piwnicę, rozkopać dół i spojrzeć na człowieka, którego zabił. Zrozumiał, że to przekracza jego siły. Jedno co mu pozostało, to skłamać. Okłamać tych, do których przyjechał, związany z nimi umową.

— No i co, panie Ukasik? — zagadywał go co jakiś czas lekceważącym tonem starszy pan w gabinecie antykwariatu. — Kiedy dostarczy pan tę studukatówkę? A może lepiej zdradzi nam pan tę skrytkę. Sami poszukamy.

Nie cierpiał, kiedy stary antykwariusz mówił do niego „Ukasik” i kiedy przemawiał tym tonem. Denrował się:

— Tylko nie „Ukasik”, proszę. Mało wam towaru dostarczałem? Majątek na mnie zrobiliście. To teraz poczekajcie.

Na co czekał, na co liczył? Sam nie wiedział. Otrzymane za monety pieniądze kończyły się. Zażądał widzenia się z szefem.

Szef przyjął go uprzejmie, lecz z rezerwą.

— Co innego, drogi przyjacielu, gdyby pan dotrzymał obietnicy. Widzi pan, nasze interesy ostatnio trochę się popsuly. Brak atrakcyjnego towaru, coraz słabiej docierają do nas wartościowe rzeczy od was i z

innych krajów hm... sąsiednich, powiedzmy. A na zachodzie — jakaż konkurencja! Ta transakcja z dukatem mogłaby nas postawić na nogi. No i wtedy — rozpostarł ramiona serdecznym gestem, jak gdyby chciał nimi zamknąć w uścisku rozmówcę — moglibyśmy spełnić obietnicę, warunek, który pan był łaskaw stawiać. Wzięlibyśmy pana do spółki.

— Ale ja nie mam tu z czego żyć! — zawołał z rozpaczą przybyły.

— Ja rozumiem. Ja wszystko rozumiem. Pan nic jest miody. Pan nic może wracać. Pan nie może nigdzie stąd wyjechać. To ja panu coś zaproponuję. Pan będzie u nas pracować. No, nie jako kierownik sklepu, nie jako ekspedient — obrzucił krytycznym spojrzeniem niepozorną postać petenta. — W ogóle nie mogę pana zarejestrować. Więc potajemnie będzie pan sprzątać lokal, dozorować, zwracać uwagę na klientów, czy się komu coś nie przylepiło do palców...

Nie miał wyjścia. Musiał się zgodzić, boby z głodu umarł. Sypiał teraz w sionce przylegającej do gabinetu, na barłogu, jak pies. Wynagrodzenia mu wystarczało ledwo—ledwo na najskromniejsze życie, jakie można sobie wyobrazić.

Pewnej nocy się wściekł. Wypił pół butelki wina, które kierownik sklepu trzymał w podręcznym kredensiku dla lepszych klientów, i podochocony wyciął z ram w tymże gabinecie rzekomego Rembrandta, którego już wiele razy proponowano klientom za bająćskie sumy, przedstawiając ekspertyzę, zgrabnie sfabrykowaną. I dał nogę. Ale płótno malarskie to nie chleb, to jeszcze nie pieniądź, który umożliwiłby mu opuszczenie Austrii. Chodził z nim po hotelach, zaczepił cudzoziemców, natrętnie proponował fantastycznie okazijną, niebywałą transakcję. Patrzyli podejrzliwie albo odstraszała ich cena. Jeden Brazylijczyk wydawał się już pewnym nabywcą. Ale akurat nie miał przy sobie odpowiedniej sumy. Gdy według umowy oferent zjawił się następnego dnia w apartamencie hotelowym, już przy wejściu usłyszał, że kontrahent właśnie zaprosił na spotkanie rzeczoznawcę, który potwierdzi autentyczność obrazu. Wziął płótno z rąk przybyłego i kazał mu poczekać w przedpokoju. Nie czekał. Wymknął się szybko z hotelu i gnał przed siebie, bez celu i kierunku. Był dalek od głosu, który dosłyszał za hotelowymi drzwiami i który znał.

Od tej pory, od kilkunastu dni ukrywał się. Nocował na ławkach w parkach, zakradał się na złomowiska, przesiadywał w zaroślach wiedeńskiego lasu, spędzał całe godziny w kościołach, rzekomo zagłębiał się w medytacji, aż do zamknięcia świątyni. Raz nawet udało mu się przespaciać na chórze. Zakrył go nie zauważył ukrytego za organami. Pierzchał na widok policyjnego munduru, wydawało mu się, że cała policja wiedeńska została zmobilizowana, aby go wykryć i złapać.

Ale nie wiedział, iż jego pracodawcy, chociaż grozili mu czasami w przystępie złego humoru ekstrakcją polskim władzom, bynajmniej nie kwapili się z doniesieniem na policję, że dozorca, nielegalnie zatrudniony, uciekinier z Polski, skradł im fałszywego Rembrandta i uciekł. Woleli w ogóle nie mieć nic wspólnego z policją. Sumienie ich nie było zbyt czyste. Zresztą, jeszcze przez pewien czas łudzili się, że „Ukasik” przyparty do muru, złamie się i zdradzi skrytkę, gdzie schował studukatówkę. Pewnego jednak dnia ktoś ze współników przyniósł do szefa warszawski „Express Wieczorny”, który z właściwym sobie upodobaniem do sensacyjnych tytułów donosił: „Złote sto dukatów w starej marynarce Nieboszczyk na straży skarbu wartego miliony!” — po czym następowała dość dokładna relacja z całego zdarzenia. Chwaliło się tym faktem Ministerstwo Kultury i Sztuki, jak gdyby to ono właśnie dokonało niezwykłego odkrycia.

W tym aspekcie sprawy osoba niefortunnego dozorca i niedoszłego współnika firmy nie tyle przestała interesować szefa, ile wręcz uznano, iż może się ona stać bardzo niewygodna. Ktoś zamieszany w morderstwo... I kto wie, co mu może przyjść do głowy? Jakies rewelacje, jeżeli policja wiedeńska dobierze mu się do skóry. Albo prasie coś powie. Nie, firma nie lubiłaby takiej reklamy. Pewnego dnia szef wezwał chudego kierownika sklepu i dał mu do zrozumienia, że wskazane jest, aby niefortunny przybysz z Polski zniknął i to definitywnie. Ostatecznie, nie brak ludzi chętnych do takiej roboty za określoną sumę pieniędzy.

Mężczyzna marznący w jesienny wieczór nad brzegiem Dunaju, gdy przypominał sobie po raz nie wiadomo który czerwcową noc, przeklinał swoje roztargnienie. Pomyślał jednak, że z pewnością nikt w kraju nie wpadł na pomysł rozkopywania dołu w piwnicy. Powątpiewał w sprawność działania milicji. Przez tyle lat uprawiał różne machinacje oraz przemyt i nikt go nie zdemaskował. A tym razem wszystko było obmyślane aż do najdrobniejszego szczegółu. Musi odzyskać swój skarb. Nabrał nagle wigoru, wstał z ławki i ruszył przed siebie. Postanowił: pójdzie do szefa i powie mu prawdę. Już szef coś wymyśli, nie takie „akcje” organizował! A jak szef nie będzie chciał, to zaszantażuje go. Znał dość tajemnic firmy, które nie powinny przedostać się do wiadomości publicznej. Nie wiedział, że niczym już szefa nie nastraszy. Nic czytywał prasy warszawskiej, nie wstępował nigdy do polskiego klubu, gdzie można byłoby się dowiedzieć, co słychać w kraju. Nic miał więc też pojęcia, że szef, nawet gdyby chciał, niczego w sprawie dukata zorganizować już nie zdoła.

Nie zauważył, zafascynowany swoim nowym pomysłem, że w ślad za nim wlecze się dwóch podejrzanie wyglądających typów. Zapadła już noc, podczas gdy siedział nad rzeką i okolica opustoszała. Tym razem nikt nie słyszał krótkiego, przejmującego krzyku i plusku ciała spadającego do wody.

Rozdział 10

Major zarządził coś w rodzaju zbiorowej konfrontacji wszystkich osób związanych ze sprawą zaginięcia dyrektora Kazimierza Nowaka. Oprócz grupy milicyjnej prowadzącej dochodzenie, w salce konferencyjnej znaleźli się jeszcze Zenek Sikora, Jolanta Nowakowa, Anatol Kobza, Tadeusz Kwiatkowski, mecenas Chranowski i prokurator Michalski nadzorujący przebieg sprawy.

— Proszę państwa. Zebraliśmy się tutaj, żeby wyświetlić jeszcze pewne szczegóły tej zawikłanej sprawy, która ma się ku końcowi. Oczywiście, „moglibyśmy wzywać was każdego z osobna, ale to przedłużyłoby niepotrzebnie całe dochodzenie. Zanim porucznik Kwaśniak zacznie państwu zadawać pytania, chcę wam zakomunikować pewną ważną wiadomość. Otóż policja wiedeńska, do której zwróciliśmy się o współpracę w tej sprawie, zawiadomiła nas, że wyłowiono w Dunaju zwłoki mężczyzny w wieku po pięćdziesiątce. Zanim utonął, otrzymał śmiertelny cios nożem w serce. Znalezione przy nim dokumenty wystawione na nazwisko pracownika „Warsu” Łukasika, Obywatela polskiego. Obdukcja wykazała, że nie może to być Łukasik. Łukasik był młodszy, miał jasnorudawe włosy i był nieco wyższy. Człowiek wyłowiony w rzece był starszy i niższy i był ciemnym łysawym szatynem. Nosi! tylko perukę, która go upodabniała do fotografii na dokumentach. Stwierdziliśmy na podstawie dokładnych badań — nic będę państwu zabierał czasu ich wymienianiem, to interesowałyby tylko fachowców — że mamy do czynienia ze zwłokami Kazimierza Nowaka, rzekomo zaginionego i poszukiwanego przez nas na podstawie zgłoszenia przez żonę Jolantę w połowie lipca. Tak, że możemy uznać za pewne, iż Kazimierz Nowak zginął śmiercią gwałtowną w Wiedniu dwudziestego ósmego września. Policja wiedeńska szuka sprawców i stara się wyjaśnić okoliczności tego zabójstwa. Być może, iż będziemy mogli im w tym pomóc, ujawniając kontakty, jakie miał Nowak w Wiedniu. Myślę, że pan Kobza i pan Kwiatkowski nie odmówią nam niezbędnych informacji.

Obaj wymienieni panowie pochyłili smętnie głowy i jak na komendę zwrócili oczy ku oknu, za którym wirowały opadające liście kasztana. Powiedzieć? Nie powiedzieć? Psuć sobie interesy i opinię w sferach antykwarskich — czy narazić się władzy? Nowakowi życia nic już nic wróci. Ani Łukasikowi. Rzecz jeszcze do rozpatrzenia...

— Głos ma porucznik Kwaśniak. Proszę. Kwaśniak poczuł, że pot ścieka mu ciurkiem po plecach, ale zaczął mówić dość pewnym głosem. Nareszcie ma okazję odegrać się na Rokitnickim za wszystkie jego prześmiewki, że ze strachu przed myszami nie zrewidował w porę strychu.

— Cichy wspólnik Kazimierza Nowaka i znajomy z dawnych lat obywatel Anatol Kobza wszedł w posiadanie cennej monety, złotej studukatówki Zygmunta III Wazy. Chociaż handlował antykami na lewo i prawo, na numizmatyce się nie znał. Wiedział tyle, że to złoto, że moneta ciężka i stara. Ponieważ gotówki starał się nie trzymać, miał ją ulokowaną w towarze, który stanowił wspólną własność obu panów, musiał więc powiadomić Nowaka, że sfinansował taki zakup ze wspólnej kasy.

— No, akurat miałem gotówkę — wtrącił Kobza — bo coś tam sprzedałem. Ale ja pieniędzmi muszę obracać, pieniądź robi pieniądź. Więc on wpłacił połowę i ja połowę.

— Niech będzie. Wymyśliliście sobie, że Muzeum Narodowe kupi od was tę monetę za pięć milionów. W razie odmowy macie wolną rękę, są jeszcze w Polica zagorzali i bogaci zbieracze. To było w pierwszej połowie czerwca," czy nic lak?

— Tak. Ale chcieliśmy się upewnić, czy nic za dużo żądamy, bo muzeum odpowiadało, że za drogo, więc zawołaliśmy pana Kwiatkowskiego na naradę.

— I on was oświecił, że cena światowa lej monety wynosi sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów... I w dodatku wiedział, bo był kiedyś biegłym w tych sprawach, a interesuje się nimi do dziś, że jakiś rok temu popełniono kradzież w jednym z europejskich muzeów i znikła taka moneta. Więc mogła to być ta właśnie.

— Ale o tym nam nie powiedział — zauważył szorstko Kobza spoglądając z pretensją na Kwiatkowskiego.

— A co mnie to obchodziło. Ja nią nie handlowałem — skwitował cierpko pan Tadeusz. — Tylko określałem.

Kwaśniak kontynuował:

— Kazimierz Nowak robił do tamtej pory stosunkowo nieduże interesy w dziedzinie przemytu. Świadczą o tym braki w kolekcji muzealnej. Przerzucał raczej niewielkich rozmiarów przedmioty, które można łatwo przewieźć w podwójnym dniu kolejarskiej torby czy jakimś wagonowym schowku. Wynałazł sobie tego Łukasika, bo sam był wygodny i za ostrożny, żeby jeździć z towarem. Dotychczasowe zyski wystarczały mu na wille, na dostatnie życie, na gromadzenie własnych zbiorów. Bo antyki to była jego pasja, choć tak bardzo się na nich nie znał. Sprawdziliśmy, nigdy nie studiował historii sztuki, był samoukiem. Praktykę tylko miał i tak zwanego nosa. I tu trafiła mu się raz w życiu okazja. Mógł zrobić wielki interes na światową skalę. Małemu człowiekowi z prowincji marzył się świat, bogate antykwariaty, obracanie cennymi dziełami sztuki, swego rodzaju rozgłos. Postanowił tę szansę wykorzystać. Tym razem sam wywiezie za granicę cenny eksponat. Nikomu nie chce zaufać. Czy mógł wyjechać legalnie? No, mógł. Ale nasi celnicy mają sposoby na wykrywanie złota w bagażach. Nie chciał ryzykować takiej straty. Wymyślił więc coś innego. Zamiast Łukasika on tym razem wyjedzie do Wiednia, miasta, które zresztą znał, bo tam czasem bywał, żeby się kontaktować ze swymi odbiorcami — a Łukasik zniknie. Chcemy wiedzieć, kto znał ten jego plan?

— Ja nie! — zaprzeczyła gorąco Jolka. — Słowo daję. W ogóle o jego interesach nic nie wiedziałam.

— A dlaczego dopiero po trzech tygodniach dała nam pani znać o jego zniknięciu?

— No... bo... — zaczęła się jąkać. — Zenek mi tak kazał.

— A pan Kobza? Nowak nie zwierzył się swemu wspólnikowi?

— Nie — zabrzmiała lakoniczna odpowiedź.

— No to ma pan najlepszy dowód, że chciał pana oszukać. Zysk miał iść po połowie, czy nie tak? Jak zamierzał pan otrzymać tę swoją połowę?

— Łukasik miał przywieźć pokwitowanie i hasło konta bankowego w Szwajcarii, gdzie miała być zdeponowana dla mnie kwota.

— Ale ktoś, kto wyjeżdża, nie wraca i znika, nie przywiezie panu żadnego kwitu ani wiadomości, prawda? Nowak chciał sam wykorzystać szansę, dla siebie i tylko dla siebie. Że zniknął nic tylko Łukasik, ale i Nowak, to była niespodzianka, prawda? Dlatego pan tu przyjeżdżał dwa razy i dopytywał się o Nowaka.

Kobza już się nie odezwał. Milczał ponuro przeżywając swoją klęskę. Urząd Finansowy okazał się w dodatku bezlitosny w stosunku do niego. Został prawie na lodzie. Skończyły się dobre interesy.

— Ale pan wiedział chyba, panie Kwiatkowski — strzelił Kwaśniak. — Radzę mówić prawdę, bo ręczę, że wiedeńscy przyjaciele nie będą pana oszczędzać, kiedy im się policja do skóry dobierze.

Kwiatkowski usiłował jeszcze trzymać fason. Z wielkopańską miną wycodził:

— Skontaktowałem Nowaka dwa lata temu z moimi dawnymi przyjaciółmi w Wiedniu, to prawda. Prosił mnie o to. Mówił o wymianie informacji i ewentualnie eksponatów. Dawałem im znać od czasu do czasu, kiedy na polskim rynku antykwarycznym pojawiało się coś ciekawego. Przysyłali mi za to paczki albo niewielkie sumy na konto. Jak to między dobrymi znajomymi. To była raczej współpraca naukowa. O planie Nowaka nic nie wiedziałem, słowo daję, tylko tyle, że transakcja z muzeum nie doszła do skutku i moneta miała być przewieziona do Wiednia. Zwykłą drogą. Uprzedziłem ich o tym. Później dostałem wiadomość, że przyjechał osobiście Nowak, ale bez towaru. Byli wściekli. Zdziwiłem się bardzo, ale cóż mogłem poradzić. I wtedy dopiero zacząłem się domyślać, co zrobił Nowak.

— Ale tym domysłem z nami pan się nie podzielił — zauważył cierpko Kwaśniak. — Kiedy rozmawialiśmy na działce, usiłował pan kierować nasze podejrzenia na Kobzę i Sikorę.

— Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że Nowak wylądował w Wiedniu. Podejrzałem, że naprawdę ktoś go sprzątnął.

— Ale dlaczego kierował pan nasze podejrzenia na Kobzę?

Kwiatkowski zniecierpliwiał się:

— Dlaczego i dlaczego. Miałbym satysfakcję, gdyby spotkało go trochę nieprzyjemności. Tak mnie kiwał razem z Nowakiem przy płaceniu za ekspertyzy, że złość mnie brała. A Sikora... No cóż. on idealnie nadawał się na podejrzanego. Na śmierci Nowaka dużo wygrywał.

— Pańską „współpracą naukową” zajmiemy się później, oddzielnie — wtrącił od niechcienia major.

— A pan, panie mecenasie — zwrócił się Kwaśniak z kolei do Chrzanowskiego. — Tak szybko zaczął pan wypełniać testament.

— Bo bałem się, że milicja położy rękę na tym wszystkim. A mnie się te rzeczy naprawdę należały. Mało to razy doradzałem Nowakowi w jego sprawach grzecznościowo? No i obrony pana Sikory, na prośbę pani Jolanty, podjąłem się też prawie bezinteresownie. Zresztą, pamięta pan porucznik, jak brzmiała klauzula testamentu: „Gdyby stało się ze mną coś nieprzewidzianego... No to właśnie był ten kasus. Może Nowak już od dłuższego czasu nosił się z zamiarem wyjazdu, lecz czekał na korzystną okazję. Ale o tym przecież w testamencie napisać nie mógł. Pozostawienie koperty z dokumentami w szufladzie biurka było znakiem, że mogę otworzyć testament. Uciekinier czy umarły — w obu wypadkach się nie wraca. Sam rozporządził swoim mieniem, żeby nie było kłopotów. I na tej zasadzie zabrałem, co mnie zapisał.

Przysięgał się tak gorliwie, że Kwaśniak dał mu spokój, choć nie miał pewności, że mecenas mówi całą prawdę. Lepiej się nie zagłębiać w tajniki adwokackich kancelarii. I bez tego roboty dość.

Pozostała najważniejsza osoba, do której nie trzeba było nawet przypuszczać ataku. Zenek Sikora sam zaczął mówić.

— No tak, wychodzi na to, że ja jeden wiedziałem, co jest grane. Prawda. Ale do tamtej nocy pojęcia o tym nie miałem.

— Zaraz, zaraz... — przerwał mu Kwaśniak. Trzeba pilnować każdego słowa tego gagatka, bo znów napiecie bajek. — O co pokłóciliście się z Nowakiem w południe? Pan Kwiatkowski jest świadkiem, słyszał, że się odgrażałeś.

— W południe przywiozłem mu forszę z PKO. Te osiemdziesiąt tysięcy. Wziął pięćdziesiąt, pewnie to było dla Kobzy. A mnie zostawił trzydzieści, dla Jolki i dla mnie. Ja chciałem więcej, no bo na tę jawę były mi potrzebne. Zagroziłem, że i tak się na nim odegram, przecież ile to ja jego pieniędzy nosiłem...

— Więc ile razy byłeś na działce Nowaka? W południe to raz, a drugi?

— Kazał mi przyjechać no działkę po północy. Myślałem, że będą jakieś paczki do zabrania. Był wygodny, nosić coś ciężkiego nie lubił. Nie chciał mnie wpuścić do środka, do pracowni. Kazał czekać na dworze. Nawet zdrzemnąłem się na ławce pod czereśnią, bo noc była ciepła. Aż tu patrzę, wychodzi z pracowni, on — nie on. Nie poznałem go w pierwszej chwili po ciemku. Wąsy zgolił, na łysinę peruczkę ryżową nałożył i był w prochowcu. I paczkę jakąś jeszcze miał, którą kazał mi wziąć, bo dość ciężka była i taka jakaś nieporęczna. Parsknąłem śmiechem i pytam, co to za maskarada. Fuknął na mnie, zły, aż strach, I mówię, że tym razem on sam wiezie towar, kolejarzy czy warsowców na granicy mniej się czepiają. „A gdzie Łukasik?” — pytam go. „Poszedł już sobie” — i machnął ręką, że to nieważne. Potem usiedliśmy na ławce i powiedział do mnie tak—. „Słuchaj, mały. Trafia mi się gratka, a i ty na tym skorzystasz, jak będziesz sprytny i zrobisz to, co ci każe. Po pierwsze buzia na kłódkę, choćby nie wiem co. Ja już z tego Wiednia nie wracam. Ale muszę mieć czas, żeby tam dojechać i sprawę załatwić. Muszę mieć luz, rozumiesz? Więc niech będzie, że zginąłem. Że ty mnie zabiłeś na przykład z zazdrości o Jolkę”; Na to ja, że nie mam zamiaru przez niego w mamrze siedzieć. Wytłumaczył, że trzeba jak najdłużej milicję za nos wodzić, na zwłokę grać. Opóźniać dochodzenie. Więc odczekać trzeba jakiś czas z zawiadomieniem milicji o zaginięciu, potem kręcić, a potem dopiero przyznać się do zabójstwa. Ja pytam: „A kiedy będą szukać trupa, co mam zrobić?”. „Sfabykujemy trupa dla milicji — powiedział mi na to i pouczył, jak mam z tymi kośćmi zrobić. Oczywiście, dojdą, że to mieszanka zwierzęcych gnatów, a nic ludzkich, ale to potrwa. No i jak żadnego w końcu trupa nie znajdą, wtedy mam odwrócić zeznania, zaprzecić się wszystkiego i muszą mnie zwolnić. „A ja będę już wtedy w Ameryce Południowej, bo Wiedeń za blisko!”, powiedział i zaśmiał się, zadowolony, że to wszystko tak fajnie obmyślił. „Dobra”, mówię, bo jako kawał to mi się nawet spodobało. „Ale co ja z tego

będę miał?" zaczął święcie przyrzekać, że jak tylko wyląduje, to Jolce rozwód przyśle i nam obojgu zaproszenie i przekaz na wyjazd do RFN, niby do wuja. No i wpłaci dodatkowo na konto w zagranicznym banku, żebyśmy mogli jakiś dobry interes rozkręcić.

— Hojny był, nie ma co. W. obiecanki. A powiedz mi, Sikora, dlaczego miałeś taką wystraszoną minę, jak ciebie zawołałem na działkę. O mało nie udławiłeś się tym schabowym. Może jednak wiedziałeś o trupie pod stołem?

— Słowo, że nie wiedziałem. Pomyślałem tylko, że zaczyna się to moje niby przedstawienie i trochę łyso mi się zrobiło, czy dam radę. O Łukasiku nic nie wiedziałem, naprawdę. Nigdy bym na to nie poszedł, żeby starego w mokrej robocie kryć. On o tym wiedział i dlatego ukrył przede mną. Ale jak ten dowód osobisty Nowaka, wyciągnięty z dołu, zobaczyłem, skapowałem, że coś tu nie tak jak miało być. Że on dokumenty Łukasika wziął. A kto się dobrowolnie dokumentów pozbywa? On chciał mnie zrobić nie w to swoje zniknięcie na niby, a w zamordowanie Łukasika. Teraz to rozumiem.

— Co było dalej? Rozeszliście się? — spytał Kwaśniak, kiedy Sikora przerwał i sięgnął po szklanę z wodą.

— Jeszcze musiałem moją jawę, którą już zabrałem od kolegi za te trzydzieści kawałków moich i Jolki, odwieźć go na Mickiewicza z, paczką. Wszedł z nią do domu, a mnie kazał znowu czekać. Myślę, że w tej paczce właśnie siekiera była, co ją na strychu znaleźliście. Poszedł tam schować. Wyrzucić gdzieś po drodze było mu niezręcznie, bo zaraz bym pytał, czego się tak pozbywa. Jolki w domu nie było, to i nikt nie widział. Wyszedł już w innym ubraniu, widać się przebrał. Potem wziąłem go znów na siodełko i zawiozłem na dworzec, bo bardzo się spieszył. Wsiadł do pociągu do Katowic.

Odetchnął głęboko, jak po szybkim biegu:

— To wypuścicie mnie teraz? Co ja zawiniłem? — spojrzał na Kwaśniaka pytająco i odgarnął jasny kosmyk spadający mu jak zawsze aż na brwi.

— A wprowadzenie władzy w błąd? Utrudnianie śledztwa? Jak obywatel Sikora to sobie wyobraża, co? — mruknął złowrogo prokurator,

— Ja to mam szczęście — stęknął żałośnie Sikora.

— Pewnie, że masz. Nareszcie bez przeszkód możesz się ze mną ożenić — zaświergotała beztrąsko Jolka.

— Panie prokuratorze! — zawołał z udanym przerażeniem. — To może lepiej ja się jeszcze do czegoś przyznam?